Rok XII. # TYGODNIK KATOLICKI. Rok XII.

№ 41. Grodzisk, 14. października 1871. № 41.

Tygodnik katolicki wychodzi co **Sobotę**. **Prenumerata** ćwierćrocznie wynosi: 1) **na pocztach pruskich** 1 tal. 20 sgr, 2) w **Galicyi** 3 fl. 3) w **Król. Polsk.** 2 ruble. 4) We **Włoszech** 2 tal. 5) We **Francyi** 2 tal. 5 sgr. 6) W **Turcyi** 2 tal. 10 sgr. 7) W **Ameryce** 2 tal. 15 sgr. 8) W **Australii** 2 tal. 20 sgr.

Listy z zagranicy adresować należy do **Poznania** (**Posen**, Grand Duché de Posen). — Redakcya przyjmuje tylko **frankowane** listy, reklamacye i korespondencye. Rękopisy nie zwracają się (tylko na uprzednie żądanie) i ulegają zniszczeniu.

Deum, qui proposito tuo favit hactenus, rogamus, ut potiora semper et uberiora eidem incrementa largiatur in sui nominis gloriam et gentis tuae utilitatem. (List Ojca św. Piusa IX. do Redaktora Tygodnika katolickiego.)

O Papieżu.

Nauka trzecia

X. Piotra Semenenki.

O Papieżu, jako podwalinie nadzieji,

to jest o jego

Sądowładztwie (Juryzdykcyji.)

Tobie dam klucze królestwa niebieskiego, i cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związaném i w niebie, a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązaném i w niebie. (Mat. XVI. 19).

(Ciąg dalszy.)

Czyż je mógł był urządzić w sposób schizmatycki? Bo jeszcze ten jeden zostaje.

Zasadza się sposób schizmatycki na tém, że władza odpuszczenia grzechów, i dalsza władza szafowania łaskami i dobrami Bożemi, spoczywa w ręku Biskupów, i że nie jest konieczną rzeczą, aby był jakiś środek téj władzy, jakaś ostatnia jéj podwalina, to jest, że nie jest koniecznym Papież. Pytanie tedy zachodzi teraz: ażali mógł w ten sposób Chrystus odchodząc pozostawić swoje dzieło zbawienia?

Byli i są ludzie, którym się to zdaje podobném, byli bowiem i są na świecie schizmatycy. Taki niejeden od Papieża w historyi odszczepiony kościół trwa dotąd jeszcze, i ma swoich Biskupów i rozdaje u siebie odpuszczenie grzechów. Więc idzie o to: czy jest taki sposób usprawiedliwionym i możebnym.

Tu z góry i wręcz odpowiedzieć możemy i powinniśmy: że i on jest taką samą niedorzecznością, i takiémże bolesném i rozpaczliwém zniszczeniem dzieła Chrystusowego, jak i sam protestantyzm. Wprawdzie nieco dłużéj trwać może niż tamten; ale to tylko tém smutniejsza dla ofiar tego dzieła zniszczenia; bo zawsze na końcu musi do tego samego co i tamten przyjść kresu; a tymczasem nim tam zajdzie, dłużéj i w większéj liczbie, a niemniéj okrutną śmiercią, zabija dusze, drogie kupno krwi Chrystusowéj. —

A naprzód jest taką samą, jeśli nie większą niedorzecznością. Protestantyzm nie przypuszczał władzy zewnętrznéj, Schizma ją przypuszcza. Lecz ta władza, jeśli nie ma ostatniéj tu na ziemi podwaliny, samego Chrystusa zastępującéj, na czémże, proszę, spoczywa? Zewnętrznie i widzialnie nie spoczywa na niczém; chyba że niewidzialnie i zupełnie wewnętrznie spoczywa na Chrystusie samym i na Bogu, wprost i bezpośrednio, i niezależnie od nikogo. To nauka katolicka powiada o jednym tylko Papieżu, schizmatycka twierdzi o każdym biskupie. Więc od razu na to jedno już się musimy odezwać: i to, i tamto, to jest i przypuszczenie katolickie i przypuszczenie schizmatyckie nie może się obejść bez cudu łaski Bożéj. Bóg cudów tysiąca nie czyni, gdzie jeden wystarcza, a Papież tu jeden wystarcza jak najzupełniéj. Mogę bez niedorzeczności i muszę przypuścić taki jeden cud oparcia się niewidzialnego, bezpośredniego i niezależnego Papieża na Chrystusie, bo to jest potrzebne, bo bez tego Kościół stać nie może, cała jego władza nie miałaby ostatniéj racyi istnienia. Ale jak to jedno przypuszczę, niczego innego przypuszczać nie potrzebuję, co mówię? już nie mogę przypuszczać nic innego, bo to inne byłoby dalszym pomnożonym cudem, a co gorsza cudem niepotrzebnym; owszem więcéj śmiem twierdzić: cudem niedorzecznym; jeszcze więcéj: cudem zabójczym. Bo jaki tego niepotrzebnego cudu dalszy skutek nieuniknły? A już ci ta sama Schizma, która Kościół rozdziera i niszczy. Bowiem nie skąd inąd wszelka schizma powstała jedno z tego, że każdy z odszczepionych biskupów sądził, iż jego władza niezależna od Papieża, że On ją ma bezpośrednio od Chrystusa, a tém samém, że może się bez Papieża obejść, i stać, i działać osobno. Cała schizma, powtarzam, z téj zasady powstała. Więc Bóg cuda by czynił, nie już bez potrzeby i jakby dla czczéj zabawki, ale iście na własną szkodę, i aby samochcąc, co z takim trudem zakładał, sam wywracał, niszczył? Ludzie! zastanówcie się przecie nad tém co mówicie i czynicie; a ja przed wami Bogiem się świadczę i jego mądrością, że wasz sposób schizmatycki trzykroć niedorzeczniéjszy niźli protestancki. Więc nie ma nic spólnego z Chrystusem.

Lecz jest druga niedorzeczność w przypuszczeniu schizmatyckiém, nie mniéj wybitna od téj pierwszéj, a mianowicie ta, że sądowładztwo o którym mowa, jest tam zgoła niemożebném, i samo siebie niszczy. Niech nam wolno będzie spojrzeć przez chwilę na ten nauczający widok i zobaczyć jak prawda sama mści się za gwałt zadany sobie. W prawdzie bowiem katolickiéj taki jest dogmat: że sądowładztwo kościelne co do swéj istoty (quantum ad essentiam) dane jest bezpośrednio przez Chrystusa i Apostołom i Piotrowi; ale w taki sposób, że w wy-

konaniu téj władzy (in exercitio) znajduje się ona w Piotrze i Papieżu jako w podwalinie i źródle, w Apostołach i Biskupach jako w dalszym kresie téj władzy i jéj promienieniu na zewnątrz, wciąż zależném od onego środka. Bez téj zależności każdego z punktów kresowych władzy od środka, żaden z nich nie może władzy wykonywać; wychodząc z zależności, każdy z nich traci natychmiast i ono władzy sprawowanie (exercitium), albowiem raz od środka odcięty, już przez to jedno traci samąż racyę sprawowania téj władzy.[1]) To rzecz jasna i prosta. W przypuszczeniu schizmatyckiém staje na to miejsce ta druga rzecz ciemna i krzywa: że w sądowładztwie kościelném nie ma żadnego środka, któryby był koniecznym i ostatnim; a jeśli jest jaki, tedy dowolny i zmienić się mogący; Biskupi nie są od żadnego środka rdzennie zależni; lecz przeciwnie mają sądowładztwo bezpośrednio i we wszystkiém wprost od Chrystusa. Co jeśli tak jest, proszę się teraz zastanowić jakie ztąd natychmiast wypływa niesłychane, a jednak konieczne następstwo.

Tém następstwem nie co innego być może i musi jedno ten dogmat: że każdy Biskup ma samowładztwo nad całym kościołem. Nie co innego, zaiste; albowiem Chrystus nie oznaczył żadnemu z Apostołów granic żadnych, nie podzielił świata na Dyecezye, ani je rozdał pomiędzy biskupów; przeciwnie, wszystkim razem wziętym a więc i każdemu dał władzę najogólniejszą, i słyszymy dobrze jeszcze bezwarunkowe słowa Zbawiciela: *Komukolwiek* odpuścicie, będzie odpuszczono, *komukolwiek* zatrzymacie będzie zatrzymano. Więc wszyscy a wszyscy wierni, więc świat wszystek jest z jednéj strony pełną owczarnią; więc każdy biskup jest z drugiéj strony pełnym pasterzem. A jednakże są dyecezye w Kościele, i sami je uznawają ci, których nazywamy Schizmatykami. Skądże się te dyecezye wzięły? A następnie, przypuszczając ze Schizmatykami że one nie mają swego prawomocnego źródła i racyi bytu we władzy środkowéj Papiezkiéj, tylko, że z jakiéjkolwiek innéj przyczyny powstały; pytamy, czy faktyczna obecność przeszkad a onemu logicznemu wnioskowi, że każdy biskup ma władzę nad całym kościołem, czy też pozostawia go nietkniętym i każdy biskup pomimo podziału na dyecezye, jest sądowładcą świata całego?

Odpowiadając na to, nie potrzebujemy wchodzić w historyczny początek utworzenia się dyecezyi kościelnych: nam idzie tu o prawomocną podstawę ich bytu; to jest o zbadanie, na mocy jakiego prawa i jakiéj władzy każda dyecezya zamknięta jest, i stoi w tych a nie innych granicach. Historycznie mógł fakt wyprzedzić prawo, i dyecezya mogła sama z siebie, że tak powiem, naturalnym wypływem w istocie rzeczy zawartych warunków, utworzyć się wprzódy, nim powaga władzy oznaczyła jéj wyraźnie lub zatwierdziła raz przybrane granice. Ale takie faktyczne tworzenie się nie przesądza w niczém prawa władzy: ani go tworzy, ani go znosi; przeciwnie, gdyby tego ostatniego, to jest prawa, nie było, fakt sam pozostałby faktem tylko, i jako taki materyalny i ślepy fakt nie miałby żadnéj podstawy istnienia; mógłby się rozszerzać lub ścieśniać, rosnąć lub upadać, i mógłby nareszcie zginąć zupełnie, tak samo bez racyi jak bez racyi powstał. Oczywista tedy, że trzeba téj ostatniéj racyi szukać, i pytać się o prawo i o władzę, w moc któréj dyecezye w kościele mają swoje istnienie.

Nauka katolicka tę podstawę umieszcza we władzy środkowéj Papieża i twierdzi, że Chrystus dał Piotrowi jednemu sądowładztwo rdzenne, a zarazem powszechne, nad całym kościołem; innych zaś Apostołów i biskupów przypuścił do uczestnictwa w téj władzy; twierdzi, że od Papieża zależy oznaczenie dla każdego granic tego uczestnictwa. Ten układ nauki i rzeczy jest prosty i jasny, i tłomaczy początek logiczny jak zarazem daje podstawę prawną bytowi dyecezyi w kościele. Lecz poza tą nauką jakiż inny być może logiczny początek i prawna podstawa tego podziału kościoła na dyecezye?

Owoż w takim stanie kwestyi Schizmatycy nie mogą nam innéj dać racyi krom Soborów powszechnych: czyli innemi słowy, krom porozumienia się między sobą bądź Apostołów, bądź następujących po nich biskupów; gdzie za spólną zgodą piastunowie władzy sądowniczéj podzielili między siebie kościół, i każdy zgodził się na to, że owo należne mu sądownictwo, z istoty rzeczy na cały rozciągające się Kościół, będzie sprawował w pewnych tylko granicach. Lecz z tego natychmiast wypływa, że to porozumienie się i zgoda jest ustępstwem, jest tém co w prawnym języku nazywają kompromisem; w całéj téj sprawie nie ma na dnie żadnego wyższego prawa i władzy, któreby o wypadku stanowiły, tém mniéj nie ma nic bożego; wszystko jest ludzkie, a cały wypadek opiera się na dowolnéj i od upodobania zmiennéj podstawie. Wypływa daléj i tu już idzie o ostatni grunt rzeczy, że przez taki kompromis nie zostało bynajmniéj zniesione owo rdzenne prawo, z jakiém każdy Biskup do tego kompromisu przystępował, to prawo mówię, że się jego władza rozciąga na cały Kościół; owszém, jeśli się bliżéj przypatrzymy, to prawo potwierdzoném zostało. Dowód jest prosty. Albowiem przed tą zgodą i przed oznaczeniem granic dyecezyi, o których mowa, żaden z biskupów (nie faktycznie, jurydycznie czyli praworzecznie o téj sprawie mówiąc) nie posiadał właściwéj sobie dyecezyi, skoro jeszcze nie miał sobie żadnéj prawnym wyrokiem wyznaczonéj; więc albo nic nie posiadał, co nie prawda; albo koniecznie posiadał owo prawo ogólne władzy na cały Kościół. Gdyby tego ostatniego każdy biskup w myśl schizmatyckiéj zasady nie był wprzódy posiadał, przed przystąpieniem do kompromisu i zgody, tedy i ten sam kompromis byłby niemożebnym; wszyscy biskupi, razem zebrani, nie mieliby razem czego w przódy z osobna nie mieli, i nie mogliby przystępować do ustępstw, kompromisu i zgody, ani w ogóle do rozdzielania dyecezyi. Oczywista tedy, że w myśl schizmatyckiéj zasady biskup każdy ma z prawa bożego sądowładztwo nad całym kościołem, a tylko z prawa ludzkiego ograniczone jest ono do pewnéj dyecezyi; oczywista, że to samo ograniczenie pozornie tylko ogranicza, a rdzennie i zasadniczo wcale nie niszczy onego prawa, owszem, ono je potwierdza; więcéj nawet, ono samo oparte jest na niém, i bez niego byćby nie mogło. Trzykroć tedy oczywista, iż prawdziwą a nawet jedyną podstawą schizmatyckiéj nauki, jest ta zasada: że każdy biskup ma z prawa bożego sądowładztwo nad całym Kościołem.

Co gdy tak jest, już widzimy jakie z téj zasady wychodzą następstwa potworne. Dość nam na jednem, które jest ostatniém: że każdy biskup może zrywać ugodę, albo ją inaczéj tłomaczyć, przemieniać ją, i tak rzeczami i osobami, faktami i sumieniami mącić i frymarczyć, żeby mógł nareszcie na swojém postawić, to jest mieć sam jeden sądowładztwo nad całym Kościołem. A dla czegożby czynić tego nie miał, jeśli ma prawo a może mieć środki po temu? Każdy biskup podług téj zasady może próbować szczęścia, każdy ma prawo do tego, to jest pierwszy, lepszy, choćby taki naprzykład Konstantynopolitański, który miał najmniéj do tego prawa. Oparty na ślepym trafunku i na materyalnym fakcie, że był biskupem

1) Odsyłamy tu znowu do rozprawy o stosunku Biskupów od Papieża.

stolicy Cesarstwa, nie mając z ustanowienia bożego, ani cienia powodu usprawiedliwiającego, ogłosił się, wbrew wszystkim, i ani się wahał, Patryarchą ekumenicznym; ni mniéj, ni więcéj: to jest sądowładzcą całego świata. Logicznie w myśl zasady schizmatyckiéj, miał wszelkie prawo do tego, i Patryarchat Carogrodzki, ten fakt ponury i tylą srogiemi klęskami w historyi ciężarny, niczém nie jest innem jedno tą zasadą schizmatycką z pomyślnym skutkiem w życie wprowadzoną: że każdy biskup ma sądowładztwo nad całym Kościołem.

Wyciągnijmyż wniosek. Co ten szczęśliwy zuchwalec uczynił, to każdy a każdy biskup uczynić mógł i ma prawo. Lecz gdyby każdy w tak brutalny sposób zatwierdzał swe osobne sądowładztwo nad całym Kościołem, śród tego tysiąca sądowładców wszech światowych, gdzieżby nareszcie podziało się samo sądowładztwo? Jużby go dawno nie było, i ta jest ona wierutna niedorzeczność, której chcieliśmy tu dowieść, że w przypuszczeniu schizmatyckiém Sądowładztwo w Kościele jest niemożebném i samo siebie niszczy. A więc sposób schizmatycki jest iście śmiechem przed rozumem, i raz jeszcze: z ustanowieniem Chrystusa nic spólnego nie ma.

Atoli jest on zarazem równie bolesny dla serca, a dla duszy równie jak sposób protestancki pełen rozpaczy. Albowiem biskupi odszczepieni nie mają władzy odpuszczania grzechów, więc też ich nie odpuszczają, i biedne dusze pod ich mniemaną władzą zostające, na odpuszczenie rachować nie mogą. Póki są w dobréj wierze, Bóg ma wzgląd na nie, i w inny sposób zastąpić im to może; ale ten inny sposób jakże trudny i jak w swoich skutkach niepewny. Zresztą ten nadzwyczajny sposób i to skryte działanie Boże nie jest prawidłem żadném; i jeżeli w duszach zastępuje niekiedy ominione inaczéj skutki zbawienia, w biskupach jednak nie zastępuje straconéj władzy, i oni jéj zgoła nie mają. A więc nie ma tam dla dusz prawdziwego porządnego uczestnictwa w odpuszczeniu grzechów i w dalszych łaskach zbawienia. To też mimo ich wiedzy, jakby bez powodu i przyczyny, znika nadzieja w tych duszach, i rozlewa się na dnie ich tajemny jad niepewności i zwątpienia, wystudzający tam wewnątrz wszelkie ciepło życia. W takim odszczepionym kawałku Kościoła wieje z wnętrza chłód śmierci, a za nim rozpościera się po ciele coś z przykra martwego; toż daléj mnożą się, albo raczéj powtarzają się bezustannie te same wciąż praktyki, obrzędy, molebnie, pokłony, bez uczucia i bez ducha, jakby podrygi życia w konaniu. Wszystko staje się zewnętrznem, mechanicznem lub zkostniałem; a szlachetniejsze dusze mimo to wszystko bez gruntu nadzieji, gnane jéj potrzebą, chcąc pewniéj pewność zdobyć, puszczają się na najniepewniejsze środki, na umartwienia, na długie i srogie pokuty, na okrutne samokalczenia, i co tylko wzrastająca niepewność w duszy rozpaczliwego wynaleść może. Wraca, wraca nam Indya przed oczy. To wyraźnie coś podobnego, a zupełnie co innego od protestantyzmu. W tym ostatnim nieszczęśliwi zwątpialcy, odbiegając niemożebnéj wiary protestantyzmu, zapuszczali się w starożytny skepticyzm i materyalizm, tu w Schizmie szaleni zapaleńcy niemożebnéj nadziei, pędząc za nią daleko od niéj, zabiegają do brahmańskich i budhowskich ostateczności. Ale tam ich też czekają ostatnie, jeśli po drodze śród gorączki nie skonają, i już doprawdy ostatnie zawody i rozpacz. Taki koniec dla serca i duszy schizmatyckiego sposobu uwolnienia od złego i dojścia do dobrego: wprzódy był niedorzecznością, a teraz jest rozpaczą i zniszczeniem, nie mniéj wielkiém jak i protestancki.

Więc żadną miarą Chrystus nie mógł takiego sposobu wybrać i dać go za zakon istnienia i życia swojemu dziełu zbawienia.

Cóż więc zostaje? Po za schizmatyckim i protestanckim nie znajduje się żaden inny pomyślić się mogący ludzki sposób do zabezpieczenia bytu i życia dziełu zbawienia, które Chrystus z sobą na ziemię przyniósł. Jedna tylko rzecz ludzka pomyślić się może po za temi granicami, i pomyślić się musi; ta jedna co w rzeczywistych dziejach z konieczności się stała: zaprzeczenie zbawienia, i albo pogodzenie się ze złem, albo zniszczenie się z rozpaczy. Przecież tylko cośmy widzieli gdzie zaszedł Protestantyzm, gdzie zachodzi Schizma; ale one tam zaszły, bo innego kresu nie było i nie ma. A więc po za protestanckim i schizmatyckim sposobem nie ma żadnego innego ludzkiego sposobu, któryby można wybrać i ustanowić choćby bez Chrystusa, na korzyść jego dzieła zbawienia.

Lecz to co my widzimy z dołu, to Chrystus widział z góry. On wszystko z góry przewidział, wszystko zmierzył, zważył, przeliczył, zanim wyciągnął swą rękę, by złożyć klucze zbawienia tam gdzie miały być złożone. Wiedział, że jeśli odda te klucze do rąk każdemu wiernemu, wszystkie skarby swoje wystawia na zuchwałą dowolność, na igraszkę namiętności, na śmiech lub na pohybel temu samemu, któremu w ten sposób dałby przystęp do nich. Atoli wiedział równie dobrze, że jeśli te klucze zostawi samym biskupom bez najwyższego ich samodzierżcy, równy pohybel, albo gorszą jeszcze igraszkę, gotuje dla samego dzieła zbawienia, dla Kościoła swego. Albowiem wiedział na ten raz że każdy biskup będzie się czuł niezależnym od nikogo, i będzie nim nawet istotnie; że wtedy każdy będzie działał na własną rękę, i jeżeli jeszcze będzie ladajako kupy się trzymał, to chyba z interesu lub musu, albo li też dla tego, by w téj kupie réj wodzić. Widział w duchu wszystkie Carogrody możebne, podnoszące się przeciwko Rzymowi, albo raczéj jedne przeciw drugim, aż póki nie byłoby ich tyle, ile głów w podobnych infułach nad tłum wyniesionych. I daléj jeszcze, i daléj, widział jak jedni drugim w zagrody włażą, owszem jak te zagrody same żadnych pewnych granic nie mają; widział koniecznie jak wtedy każdy biskup siłą tylko lub kunsztem, najpodobniéj świeckiém ramieniem, swojéj władzy granice będzie rozszerzał lub będzie widział ścieśnione, i jak nareszcie tego wszystkiego następstwem jest ciągły stan wojny, a ostatnim końcem ostateczna ruina. To co słowo Boże od wieczności przewidziało, to Chrystus Słowo Boże wcielone w onéj uroczystéj chwili w czasie przed sobą widział; i to co od wieczności w radzie Bożéj uradzoném było, to On wtedy w swojim czasie w dzieło wprowadza i wykonywa. Woła przed siebie wszystkich Apostołów i wszystkim daje władzę odpuszczania grzechów i szafowanie łaskami zbawienia: „Cokolwiek zwiążecie, będzie związane, cokolwiek rozwiążecie, będzie rozwiązane.“ Ale natychmiast przywołuje Piotra i mówi: A tobie, tobie jednemu daję téj władzy klucze; co oni wszyscy razem mają, to ty masz sam jeden, ode mnie wprost, i bez żadnéj od nikogo zależności dla tego samego, że sam jeden masz wszystko. Co ty jeden zwiążesz, to będzie związane; co ty jeden rozwiążesz, to będzie rozwiązane. I żadnego w tém nie czynię wyjątku, nawet tych twoich braci i uczestników władzy nie wyjmuję: temi kluczami i śród nich

cokolwiek zwiążesz i cokolwiek rozwiążesz, będzie związaném i będzie rozwiązaném. Albowiem to Ja, najwyższy dzierżyciel tych kluczów zbawienia, to *Ja mówię tobie, że, ty jesteś Piotr* (na mojém miejscu)... *i tobie daję* te same *klucze królestwa niebieskiego,* które sam dzierżę. Et ego dico tibi quia tu es Petrus... et tibi dabo claves regni coelorum (Mat. XVI.)

Tak ustanowił Chrystus; i teraz tém głębiéj w wierze naszéj stoji utwierdzone to słowo ustanowienia jego, im bardziéj w myśli stoją obecne w całém swém świetle przyczyny tego ustanowienia. A chociaż same to słowo wystarcza, gdyby nawet pozostało było w świętéj ciemności wiary; teraz jednak tém bardziéj świecić nam powinno śród drogi, im jaśniejszém przed samym umysłem oblane jest światłem.

A więc Piotrze, trzymaj w twym ręku jeden te najwyższe klucze, zamykaj i odmykaj, wiąż, rozwięzuj wszystko i wszystkich. Twoi bracia także mają udział w tych kluczach, wiążą i rozwięzują; ale ty wiążesz i rozwiązujesz ich samych. Jeżeli im Chrystus dał władzę, tedy pod tym warunkiem, abyś ty jeden tę ich władzę w nichże samych odmykał lub zamykał, wiązał lub rozwiązywał. Tym tylko jednym sposobem ta władza nie obróci się przeciwko sobie saméj i sama siebie nie zniszczy: bramy piekielne wtedy doprawdy przeciwko niéj nie przemogą, bo ona, oparta na tobie, mocnéj jak Chrystus sam i nie wzruszony, jak On podwalinie, bezpiecznie wtedy stać będzie, a z nią razem na niéj oparta nadzieja nasza i całe zbawienie. A więc Piotrze, dzierż klucze, i wiąż i rozwiązuj! —

Rzecz skończona. Nie miałbym nie tylko dobréj woli, ale sumienia, gdybym przeczył tak jasno objawiającéj się prawdzie; nie miałbym rozumu i serca, gdybym sam sobie wydzierał podstawę jedyną tak szczęśliwie pozyskaną całéj mojéj nadziei; — i jeżeli prawda, że człowiekiem być przestaje kto już stracił nadzieję, jakże daleko więcéj nie już nadzieję, ale ostatnią jéj podstawę samowrogo sobie odbierając, trzykroćbym i czterykroć przestawał być człowiekiem.

Stoji przeto z ramienia Chrystusowego Piotr na ziemi nie tylko jako podwalina nadziei. Świeci jak gwiazda nad jego czołem słowo Chrystusowe: Oto masz klucze królestwa niebieskiego; wiąż i rozwiązuj! A my biedni pielgrzymi, na tym padole zawodów i smutków i płaczu, tą jedną kojimy się pociechą, że mamy tego szczęśliwego kluczowładzcę: strażnika, pokrzepiciela, karmiciela, lekarza, sternika, przywódzcę; za którym idąc nie zbłądzimy, ani ustaniemy w drodze, i jako żywo nie padniemy ofiarą rozpaczy; lecz pełni coraz lepszéj nadziei z pewnością dojdziemy do jéj jasnego kresu. Tam będziemy mogli wesoło zawołać: Dzięki Tobie, Panie! szczęśliwie odbyliśmy drogę, albowiem Piotr nas prowadził, a w nim Ty sam nas prowadziłeś. I teraz poznaliśmy, i dziękując wyznajemy, jak prawdziwie rzekłeś o sobie: *Ja jestem droga.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Artykuły **Orędownika** o inspekcyi duchownéj.

III.

(Ciąg dalszy.)

Niespodzianie przybył *Orędownikowi* sojusznik w korespondencyi *Tygodnika* „Z nad Warty.“ Podejmuję z tego artykułu jedynie rozumowanie jego, popierające twierdzenie *Orędownika,* że „inspekcya duchowna jest niefachowa, technicznie nieumiejętna.“

Przyjąwszy za rzecz pewną, że w Alzacyi rząd pruski „nie pozwala być duchownym inspektorami szkół, bo nie są niby fachowo wykształceni,“ już on słyszy, jak tenże rząd „przebąkuje też to samo w naszych stronach“.... „podając za przyczynę, że duchowni nie są fachowo wykształceni na pedagogów.“

Proszę i na jednę i na drugą rzecz o dowody; ja tego nie widzę, nie słyszę: przyznaję się do tego, choć może narażam się przez to na wymówkę p. Kr., „nauczyciela obeznanego w stósunkach szkólnych całéj Europy,“ że to u mnie dowodzi skąpego obeznania się z bieżącemi sprawami politycznemi, dotyczącemi tak żywo Kościoła katolickiego.“

Pisze korespondent „Z nad Warty:“

„Nagana *Orędownika* nie tak groźna, jak nagana *Schulblattu* z ostatniego numeru 14. Już dawno zwracaliśmy uwagę na naganę, jaką dała Regencya redagująca to pismo duchowieństwu i Kościołowi, a teraz znów nam przychodzi to samo uczynić. W zeszłéj naganie urzędowo nie było wypowiedziane, ale teraz podpisano: „Koenigliche Regierung Abtheilung des Innern, Majer“ i adres: „An die kath. Herrn Schulinspektoren und an sämtliche kath. Lehrer;“ skarży się Regencya, iż do seminarów przychodzą tacy, co elementarnych nie mają wiadomości, co ze szkoły elementarnéj nie wynieśli nawet tego, co powinno każde dziecko umieć. Nie bez przyczyny często powtarza: „die kath. Herrn Schulinspektoren,“ dając poznać, że ewangielicy są gorliwsi, a katolicy duchowni zaniedbują szkoły. Daje więc upomnienia, aby szkoły regularnie odwiedzać, aby inspektorowie szkół na elementarne zasady pedagogiczne uważali t. j., aby plan nauk był, i ażeby podług planu kontrolować szkoły.“

Otóż to wszystko moglibyśmy krótko zbyć, że jest od rzeczy, iż logicznie niedomaga dla *ignoratio elenchi,* dla niewiadomości o tym, co było do dowodzenia. Pan Kr. twierdzi, że „dzisiejsza inspekcya niedomaga tyle, że się nie może utrzymać w szkole.“ A Regencya, jeżeli wzywa, „aby inspektorowie odwiedzali szkoły, uważali na to, aby plan nauk był sporządzon i wykonywan przez nauczyciela,“ tym samym przyznaje, że inspekcya duchowna i „utrzymać się może.“ i zdolna skutecznie działać w téj pana Kr. szkole dzisiejszéj, która „czuje swą wyższość nad inspekcyą duchowną.“

Korespondent przytaczając Regencyi to rozporządzenie, nie udowodnił urzędowymi dokomentami, jak prawdziwe jest twierdzenie p. Kr. o inspekcyi duchownéj, co chciał uczynić; lecz owszém urzędowym dokumentem wyświecił fałsz twierdzeń *Orędownika,* czego zapewne nie chciał uczynić.

Gdyby Regencya podzielała przekonanie pana Kr. o „wyższości szkoły nad inspekcyą duchowną,“ niechybnieć nie polecałaby jéj nadal „kierownictwa“ w szkole, a to, ażeby ta nieupadała mimo onéj wychwalonéj pedagogiki nauczycieli. Czy nie tak? Wszak z pewnością nikt by nie pozostawił na czele „gienerała“ tak nieumiejętnego, że lada oficer przewyższałby go wiedzą fachową.

Choć toby mogło starczyć na wykazanie nicości tego rzekomego nowego dowodu przeciw nieudolności inspekcyi duchownéj, niby to podpisanego urzędownie, biurokratycznie i zaadresowanego tak wyraźnie, że pomyłka już niepodobna: wszelako nie od rzeczy będzie zdać sobie sprawę, jak korespondent przyjmuje i tłomaczy to rozporządzenie Regencyi w Nr. 14. Dziennika Urzędowego dla szkół.

Najpiérw zdaje mu się, że „nie bez przyczyny często dość powtarza, die kath. Herrn Schulinspektoren,“ dając poznać, że ewangielicy są gorliwsi, a katolicy zaniedbują szkoły. Korespondent poleca inspektorom „choćby czytanie *Schulblattu;*“ zapewne tedy sam go czyta pilnie: przypomni sobie więc z łaccnością sprawozdania samychże protestanckich konferencyi, przyznających, jak nizko wiele ich szkół stoi. (cf. N. 19 z r. 1870.) Wyczytał też niepotrzebnie pomiędzy liniami rozporządzenia, że „dała poznać, iż ewangielicy są gorliwsi od katolickich inspektorów.“

Kto się domyślać zechce i puści wodze fantazyi, może dużo sobie uroić; wedle mnie Regencya nie mogła tu mieć na myśli żadnego porównywania, lecz wprost się obróciła do katolickich inspektorów, jużto, że dyrektor katolickiego, a nie protestanckiego seminaryum się skarżył na niedostatek wiedzy u preparandów, już też, że w katolickich szkołach może być mowa o braku znajomości języka niemieckiego, który wedle sprawozdania dyrektora kcyńskiego seminaryum nauczycielskiego, stanowi najgłówniejszą zawadę do zrównania się zakładu z takimiż w innych prowincyach.

Ani też Regencya nie wpadła tak obcesem na inspektorów, jak to korespondent przedstawia i sam czyni.

Ona wychwalona doskonałość pedagogiczna nauczycieli zrobiła małe *fiasco* w Kcyni, kiedy preparandów do stanu nauczycielskiego nie zdołała nauczyć tyla, ile dziecku potrzeba umieć w szkółce elementarnéj.

Dowiedziawszy się o tym Regencya, przypuszcza, że taki pan nauczyciel tym mniéj nauczy w szkole, i ot dla tego inspektorom „przypomina obowiązek kierownictwa w szkołach.“ *Da nun die Annahme nahe liegt,* dass die geschilderte ungenügende Vorbildung der Seminar-Aspiranten ihren Grund auch in mangelhaften Leistungen der Elementarlehrern in ihren Schulen hat, „so sind wir beauftragt, die kath. Schulinspektoren zunächst ernstlich an ihre Pflicht in der Leitung der Schulen zu erinnern.“

Rozporządzenie regencyjne mówi tedy nie o „wyższości szkoły nad inspekcyą,“ lecz o nieudolności pedagogicznéj nauczycieli, którzy zapewneć chcieli preparandów przygotować dostatecznie, a nie nauczyli ich ani tyle, ile potrzeba dziecku w elementarnéj szkółce; mówi o niedbalstwie nauczycieli, którzy ani myślą podążać do celu, zakreślonego szkole, i dla tego nie trzymają się w nauce żadnego planu, ani też w księdze na to przeznaczonéj nie zdają liczby z postępu swéj nauki: bynajmniéj nie w myśl *Orędownika* o dzisiejszéj inspekcyi duchownéj w szkołach spodziewa się, że złemu zapobiedz zdoła „kierownictwo duchownych w szkołach,“ i przypomina im przeto ten ich obowiązek, by go pilnowali należycie.

Jeżelić „zaprawdę zawstydza nas wielce rząd, takie przypominając rzeczy i obowiązki“: to srom ten w całéj ohydzie spada wpiérw na nauczycieli, że, „chełpiąc się wyższością szkoły nad inspekcyą duchowną co do technicznego wykształcenia,“ że, skarżąc się na duchownych, iż się stają „w obec nauczyciela narzędziem administracyi policyjnéj,“ — umieją jednak tak mało tylko nauczyć i nie chcą więcéj i lepiéj nauczyć, czynem własnym w ten sposób zadając kłam przechwałkom i skargom swoim. Na duchownych spada chyba ta wina, iż widząc, „że podrastanie córki, okazującéj coraz więcéj chęci do wyrwania się z objęć Kościoła, wymaga krzepkiéj ręki rodzica;“ iż widząc, że im trzeba wzgardzić przechwałką, nie zważać na skargę „i kierownictwa w szkołach“ z rąk nie wypuszczać, woleli niektórzy na niejedno przymrużyć oczy, żeby nie mieć wichrzyciela w parafii i nie dawać pochopu do przerznienia się w rząd ludzi, o jakich *Orędownik* mówi na czele nr. 18. w artykułach o szkole.

Dowód zatym i ten ostatni, nibyto urzędowy na „wyższość szkoły nad inspekcyą,“ rozwięzuje się raczéj w dowód na upadek szkoły w skutek tych przechwałek o „wyższości szkoły“ i w skutek skarg na stawanie się inspektorów „narzędziem administracyi policyjnéj.“ *Orędownik,* który i te przechwałki i te skargi podsyca, czy zdał sobie sprawę z tego, co czyni i co sprawi?

Korespondent „Z nad Warty,“ nim napisał swą gromką naganę dla inspektorów, gdyby się był rozpatrzył dobrze w rozporządzeniu regencyjnym, byłby sobie powiedział: wina niezawodnie wielka cięży na nauczycielach tych, którzy preparandów tak nędznie przygotowują; ale że za to przygotowanie najmniejsza wina spada na samąż szkołę, przynajmniéj co do niemieckiego języka.*)

Rozporządzenie regencyjne żąda, aby dziecko elementarne umiało się wysłowić po niemiecku w zdaniach najpiérw gołych, potym rozwiniętych i złożonych i to gramatycznie prawidłowo; nareszcie, żeby umiało rozmówić się w zdaniach z sobą prawidłowo powiązanych.

Dawniejsze rozporządzenie (nr. 6 r. 1868) żąda, żeby dziecko w szkółce elementarnéj nauczyło się mówić po niemiecku; a nawet, żeby mu już poczęści wykładać po niemiecku geografią i rachunki.

Pytam korespondenta „Z nad Warty,“ czy, rzucając duchowieństwu w twarz to rzekome potępienie jego inspekcyi przez rząd, zastanowił się, co czyni? na co się godzi? do czego pcha duchowieństwo, na jakie tory?

Królewska Regencya (Schulb. z r. 1868 nr. 6) przypuszcza, że nie „lenistwo nauczycieli, nie trudność przedmiotu, ani zasadnicza niechęć do języka niemieckiego,“ lecz nieumiejętność metody w nauczaniu tego języka jest przyczyną, że w szkółkach dzieci nie nauczą się tyle po niemiecku, żeby późniéj w praktycznym życiu rzeczywistą korzyść z téj nauki odniosły.

Zwraca potym uwagę na to, że metodą jedyną, żeby nauczyć mówić jakim językiem jest konwersacya, czego dowodem, że rekrut Polak nauczy się w ten sposób po polsku.

Zgoda na metodę, jeźli ją się połączy z umiejętnym poznaniem form języka. Powinna ona być zastósowana we wszystkich szkołach i wyższych w nauce języków. Podobną była metoda *Alwara,* która tak znamienitych łaciników wychowała w szkołach dawnych, gdy szkoły wedle systemu pruskiego w téj właśnie mierze tak strasznie nieudolne. Ale żądać od dziecka elementarnego, żeby się nauczyło tyla, ile w szkołach wyższych zaledwie zdoła sobie po ciężkim trudzie przyswoić może tercyaner wyższy w języku niemieckim, a czego sobie nie przyswoi w polskim języku może i prymaner z gimnazyum niemieckiego, czego sobie nie przyswoi tylu urzędników przez lat wiele, ludzi przecież wykształconych: jakaż w tym racyonalna zasada pedagogiczna?

Ale żądać wykładu nauk w języku niemieckim, choć tymczasem pomocniczo tylko; żądać wykładu geografii, wcale nie łatwéj nauki dla dziecka, zwłaszcza, gdy weźmiem fizyczną i matematyczną; żądać wykładu rachunków, przedmiotu tak abstrakcyjnego dla dziecka w języku mu obcym: jakaż w tym racyonalna zasada pedagogiczna?

Niechże dalekim będzie przypuszczenie, że to pierwszy krok do większéj giermanizacyi szkoły przez przymus rządowy, że ten pomocniczy wykład w języku niemiecki, geografii i rachunków ma być pierwszym krokiem do zaprowadzenia późniéj zasadniczo saméj niemczyzny w wykładzie, zaledwie z tolerowaniem polszczyzny w najniższym oddziale szkoły, jak to jest już w Prusiech; niechże przyjęte będzie całkowicie uzasadnienie, jakie Regencya daje dla swego rozporządzenia, żeby „polskie dzieci uzdolnić do używania języka niemieckiego obok polskiego w życiu praktycznym“. A jednak sądziłbym, że np. X. Gawrecki trafnie ocenił ten system, jako niepedagogiczny. Kiedy radzca Nepilly napisał książkę podającą też, co dziś zalecona i nakazana w szkołach, metodę uczenia języka niemieckiego w szkółkach elementarnych, a minister Raumer, jeśli się nie mylę, da mu ją do ocenienia, takie o niéj dał zdanie:

„Szkoła ma za zadanie formalne i materyalne wykształcenie. Do formalnego wykształcenia mało posłużyć może nauka języka dziecku obcego, bo to niezdolne porównać organizm języka obcego ze swoim, w którém to porównaniu jest całe ćwiczenie umysłowe w nauce języków. Jako zasób materyalny kształcenia nie może też figurować mówienie językiem dziecku elementarnemu obcym, bo do tego rezultatu dojść by można chyba z uszczerbkiem wszystkich innych przedmiotów wiedzy. Zresztą troska ta o przyszłe pożytki w życiu praktycznym niepotrzebną: bo kto będzie potrzebował języka niemieckiego, ten go się nauczy z większą łatwością w wieku dojrzalszym, aniżeli w wieku dziecięcym.

Wykład zaś naukowych przedmiotów w języku obcym, jest wprost potwornością pedagogiczną taką prawie, jakby kto w równaniach nieznaną ilość z również nieznanych chciał wynaleść.“

— Opinia ta X. Gawreckiego uchroniła nasze szkółki na lat kilka od prób, którym teraz poddana.

IV.

„Otwartość chociaż cierpka, jest lepszą od obłudnéj hypokryzyi“, pisze p. Kr.

Aliści jakiż to rodzaj nowy otwartości napisać: „któż to autorowi powiedział, że ja ubliżam duchowieństwu katolickiemu

*) Co do realiów dość wskazać na to, że wspomniany już referat o szkole francuzkiéj wcale nie gani jéj tego, iż zalicza je do nauki nieobowiązkowéj. (Schulb. r. 1870 nr. 10). Co do rachunków to i w protestanckich szkołach, nietylko w katolickich znachodzą się te same braki (cf. Schulb. z r. 1869 nr. 2.)

pod względem pedagogicznym, kiedy w nr. 57 piszę wyraźnie „ogradzam się przeciw temu, jakobym mówiąc przez pismo polskie o ujemnych stronach inspekcyi, miał naszę szkołę na myśli, piszę o ogólnych stósunkach; a drugdy napisać: „wierzę, że autora ubodło trochę to nagie wystawienie inspekcyi szkolnéj"; a inegdy napisać: „milczeć wobec tak jawnego niebezpieczeństwa dla szkoły i *narodu* to grzechem; *nie godzi się zatajać, słabości naszych, otwartość chociaż cierpka* jest lepsza od *obłudnéj hipokryzyi*"; i jeszcze inegdy: „że kursa pedagogiczne dla przyszłych teologów i inspektorów nie rodziły pedagogów, a jeśli jakiś ksiądz zaświecił, jak nasz X. Gawrecki wiadomościami pedagogicznemi, to rzadki wyjątek"; i jeszcze inegdy: „nawet nauką religii niechętnie zajmuje się ksiądz miejscowy, *obawiając się krytyki nauczyciela*, szkoła też rzadko widuje naszych dzisiejszych inspektorów u siebie".

Jeżeli p. Kr. w polskim piśmie rzeczywiście mówił o niemieckich szkółkach, czemuż się powołuje na *Tygodnik Katolicki*, który „odzywa się do *naszych* kapłanów"; czemuż nie zaprotestował przeciw sfałszowaniu jego myśli przez W. K. z Dolska, który „przyznał", że tak jest *u nas*? który o naszych nauczycielach napisał, że pewni siebie, swéj pedagogiki mówią sobie: *pomyliłeś się, księże inspektorze?*

Zapewne na tę pana Kr. „otwartość cierpką" co ma być „lepszą od obłudnéj hipokryzyi", każdy łacno znajdzie właściwe nazwanie.

Inspekcya duchowna wedle p. Kr. „nie stoi dziś na odpowiedniéj wysokości," niedomaga „tyle, że się nie może utrzymać w szkole," „która czuje swą wyższość nad inspekcyą duchowną," bo „Kościół jako szkoła nie postępował za szkołą, ani z nią razem," bo „Kościół zasadniczo odrzucał" myśl reformowania inspekcyi, a tak „wykształcenie fachowe inspektorów zagrzęzło na średniowiecznym trakcie," a „nie odpowiada wcale ani *duchowi czasu*, ani rozwojowi szkoły."

Aliści jednym tchem mówi znów p. Kr., że „szkoła właśnie z inspekcyą duchowną uczyniła Prusy tym, czym są dzisiaj w areopagu europejskim." Wszak dziwna logika: inspekcya duchowna, biedaczka, „tyle nie domaga, że się utrzymać nie może w szkole", a daje Prusom całą ich potęgę. Czy to nie cuda? A może to tylko cudactwa logiki pana Kr.!

Żeby potępianie inspekcyi duchownéj przez p. Kr. uznać, za słuszne, lub niesłuszne, trzeba się najpiérw porozumieć co do samegoż pojęcia inspekcyi, wziętego metafizycznie i historycznie, to jest, jaką być powinna każda inspekcya sama przez się, a jaką wedle tego, jaką się ukształtowała historycznie u nas.

Inspekcya każda przez się jest nadzorem i tylko nadzorem; a więc jest dopilnowaniem pracującego, żeby od pracy się nie uchylał, i oraz ocenięniem, co warta sama praca. Taką jest inspekcya np. dyrektorów gimnazyum, taką dyrektorów sądu dla sędziów, a dyrektora kancelaryi (nie dyrektora sądu, jak p. Kr. pisze) dla subalternów.*)

Taką też jedynie powinnbay być inspekcya w szkółkach elementarnych. A więc inspekcya powinnaby się ograniczać do tego, żeby dopilnować nauczyciela; iżby nie opuszczał szkoły; iżby uczył wedle pewnego rozkładu (Lehrplan); iżby w księdze zdawał codzień regularnie sprawę z tego, jak nauczył odpowiednio do planu (Lehrbericht). Nadto należałoby do inspekcyi ocenienie wartości pracy nauczyciela z rezultatów, jakich żądają przepisy rzędowe, a jakie osięgnął nauczyciel. Tymczasem tu od inspektorów więcéj się żąda. Żaden dyrektor gimnazyum nie obowiązany uczyć podwładnych swych nauczycieli; dyrektor sądu, sędziów, dyrektor kancelaryi, subalternów sądowych.

Jedyny tylko inspektor szkółek elementarnych obowiązany uczyć nauczyciela, pracować nad jego wykształceniem ciągle w konferencyach parafialnych i okresowych.

Ten obowiązek nie leży bynajmniéj w pojęciu inspekcyi: narzucon on koniecznością historyczną tą, że kandydatów na nauczycieli elementarnych, wykształcenie przygotowawcze jest strasznie małe, że tych braków wypełnić nie zdoła i trzechletni kurs seminaryjski, i że dla tego ciągle tę biedę trzeba łatać.

Wedle p. Kr. inspekcya powinna mieć „charakter opiekuńczy, doradczy, a nie policyjny." Czyż taki sam charakter mieć powinna i inspekcya po gimnazyach i w sądach? Niezawodnieć nie, lecz właśnie policyjny; a raczéj, żeby uniknąć wyrazu niemiłego, każda inspekcya powinnaby mieć charakter nadzorczy przedewszystkiém i nadewszystko. Pan Kr. gniewa się, że inspektor dzisiejszy, jeśli chce w sferach rządowych uchodzić za „dobrego inspektora," rozpoczyna swój zawód od ścigania nauczyciela, schodzenia go z nienacka itp. Tym sposobem staje się mimowoli narzędziem administracyi policyjnéj, jeśli nie nazwiemy jaskrawszym epitetem takiego stanowiska wobec nauczyciela."

Przychodzi tu wątpić, czy p. Kr. wie, co napisał. Proszę mi powiedzieć, coby zyskała szkoła na tym, gdyby miała najznamienitszych teoretyków na polu pedagogiki, i nauczyciela i inspektora, gdyby wszelako nauczyciel nie pilnował szkoły, a inspektor nie „schodził go z nienacka," gdy ten sobie siedzi całe dni w domu, nie w szkole, gdy młóci a nie uczy, gdy wyjedzie i rozpuści szkołę bez wiedzy inspektora lub da się zastępować przez dziewczynę służebną?!

Na wszystkie wskazówki metodyczne inspektora, odpowie taki nauczyciel z wielką stanowczością, choćby na konferencyi okręgowéj, że wskazówki te prawdziwe, ale niepożyteczne; bo w szkołach na tę metodyczność nie ma czasu! Co to za „schodzenie nauczyciela z nienacka?"

Ja nie rozumiem, jak pilnego nauczyciela można schodzić z nienacka; a niepilnego nie rozumiem, dla czego miałoby być zdrożnością schodzić z nienacka. Czy inspektor niedbałego nauczyciela ma zawsze wpierw uwiadomić, żeby raczył być w szkole, gdy on przybędzie na rewizyą?

W czym naganne „ściganie nauczyciela?" Czy kiedy żąda, żeby uczył gramatyki polskiéj i poda jemu i dzieciom w rękę choćby maleńką gramatykę Sucheckiego? czy że żąda, żeby dzieci pisały ze wzorów, które jak tylko zakupione, spoczywają nie wydobyte? czy że żąda pisania wypracowań na piśmie i podawania daty, żeby zeszyty nieśmiertelne nie figurowały lat cztery? czy, że żąda nieraz daremnie planu przez miesiące całe? że aż w księdze ze sprawozdaniami upominać się musi i piśmiennie o zapisywanie lekcyi (Lehrbericht), albo protokularnie zobowiązywać ich, i odesłaniem protokułu do regencyi grozić?

Czy to się zowie ściganiem nauczyciela? Jeżeli co innego, proszę to jaśniéj określić.

Inspekcya ma mieć „charakter opiekuńczy, doradczy." Szkoła ta, co wedle p. Kr. „chociaż dzisiaj nie doszła szczytu swéj doskonałości, to jednakowoż stoi znacznie wysoko, a przynajmniéj o tyle, że czuje swą wyższość nad inspekcyą duchowną," daj Boże! żeby co najrychléj stanęła nareszcie tak wysoko, ażeby inspekcya nad nią mogła się ograniczyć do obowiązku nadzorczego, ażeby nie potrzebowała w inspektorze mieć nauczyciela dla swego nauczyciela. Wtedy dopiero może inspekcya mieć charakter *doradczy*: bo wtedy dopiero, nauczyciel prawdziwie wykształcony nie będzie się „czuł wyżéj nad inspekcyą;" ale też nie będzie ranion w miłości własnéj tyle, ile dziś musząc jéj się sprawiać i teoretycznie ze swéj wiedzy i umiejętności: i łacniéj podniesie się do téj prawdziwéj wyższości umysłowéj, która niezadufana w sobie chętnie pyta innych o zdanie, o radę.

Opieki tak rzadko potrzebować może dobry nauczyciel, że żądanie, żeby inspekcya miała charakter *opiekuńczy*, zdaje mi się nie zrozumiałe.

Pan Kr. posuwa się tak dalece, że twierdzi, iż te „ścigania nauczyciela" przez inspektorów doprowadziły nas w końcu do „braku nauczycieli."

„Najczęściéj występował ksiądz pierwszy z skargą; rząd pruski, jako czysto militarny, rzadko przyznawał słuszność nauczycielowi, który na tych swarach najgorzéj wychodził.... Zastraszającemi są też liczby statystyk, dowodzące braku nauczycieli w Prusach. Okolice niektóre lata całe wyglądały napróżno nauczycieli, nie było ich, bo nikt *sumienny nie mógł poświęcić młodzieńca przyszłości niepewnéj i hazardownéj*."

Pan Kr. nie przypisuje braku nauczycieli temu, że semi-

---

*) Przykład gienerała rozkazującego adjutantowi zdaje mi się zupełnie niewłaściwy, boć tu o żadnéj inspekcyi nie może być mowy.

narzysta z głową w przeciągu lat trzech napchaną najrozmaitszym materyałem naukowym, którego się w szkółce krótko przed tym ani domyślał, a więc zadufany w straszną swą mądrość; liczący się do intelligencyi, a więc zrównany demokratycznie ze wszystkimi, co stoją u góry społecznéj hierarchii, a rzucony na skromną posadę, czuje się nieszczęśliwym: pensya szczupła nie wystarcza na potrzeby zbytkowe, do których się ukradkiem przywykło w seminaryum; wyższe klasy spóleczne zrażone łatwością spoufalenia się, i postępowania sobie ze wszystkimi demokratycznie *sans gène,* uprzykrzą sobie jego i on je sobie uprzykrzy: i ot, gotów zeń dezerter ze stanu nauczycielskiego, albo malkontent i rozbitek moralny.

Brak nauczycieli z prześladowania ich przez inspektorów! „Nikt sumienny nie może młodzieńca poświęcać przyszłości niepewnéj i hazardownéj.“

Proszę wziąść wykaz posad nauczycielskich i wskazać tych nauczycieli, co pozbawieni chleba z powodu „ścigania“ przez inspektora.

Pewnie by rzecz była nader trudna. Czemu? Bo najpiérw jedni inspektorzy litują się ojca piętnastu dzieci żyjących, i wolą nawet znieść głupią wymówkę niejedną, i nieprzestawać upominać prywatnie, dopóki jest jakabądź nadzieja poprawy; bo daléj, inni inspektorzy nie chcieliby wywoływać licha, nie chcieliby mieć wichrzyciela, i rozbitka moralnego, plagi, któréj się niepodobna pozbyć.

I jeszcze czemu? Bo mamy téż mędrszych pedagogów: niecowierzający sobie, najpiérw wezmie się do trapienia dzieci niemdzyzną z uszczerbkiem dla innych przedmiotów naukowych; inny uczyni się zkądinąd „potrzebnym.“

A przy tym „brak prawa szkólnego, stawiając nauczycieli pod wyjątkowe przepisy prowincyonalne, nie koniecznie „pogorsza sprawę na koszt jego.“

Czyż może być zbyt „hazardowną przyszłość“ tego, który np. zamknął drzwi szkoły przed inspektorem, pobił się z kolegą swym wobec szkólnych dzieci, zgorszycielem jest w parafii, a mimo to choć już raz zadekretowane było przeniesienie jego na posadę inną, oczywiście daleko lepszą, gdy przez punkt honoru chciał pozostać na miejscu dawnym, pozostał się na nim. Inspektorowi z dozorem dosyć na satysfakcyi, że odbiorą gromką naganę dla nauczyciela, sformułowaną tak: że pp. jest taki urwisz, co urzędownie się potwierdziło, — nie możem nim nadarzać innéj parafii. Na to zgoda: ale czemuż tę koniecznie nim uszczęśliwiać? O! „hazarodowna, niepewna przyszłości“ dla „ścigania“ przez inspektorów.

„Wszelkie starcia, *pisze p. Kr.* i kolizye między nauczycielami a księżmi, czy to u nas, czy to za granicą, miały i mają najczęściéj swój początek i źródło w różnicy pojmowania środków naukowych. Nauczyciel im młodszy, tym zwykle zarozumialszy; z zasady z niedowierzaniem i lekceważeniem przyjmował wskazówki i rady inspektora, którego skąpe wiadomości pedagogiczne nie dawały mu pewnéj rękojmi fachowéj. Ksiądz znów uważając się podług litery prawa za inspektora, czuł się wyższym w szkole nad nauczycielem, tak — rozbrat gotowy.

Zupełnie inaczéj miałaby się rzecz, gdyby nauczyciel był przekonany o technicznym wykształceniu księdza inspektora, gdyby ten wydawał rozkazy i plany stanowczo, uzasadnione prawidłami pedag gicznemi.“ „Bo akżeż się ma z wykształceniem fachowym inspekcyi w szkole?... Wykształcenie techniczne inspektorów zagrzęzło na średniowiecznym trakcie. Te kursa pedagogiczne dla przyszłych teologów i inspektorów nie rodziły pedagogów, a jeśli jaki ksiądz zaświecił, jak nasz ks. Gawrecki wiadomościami pedagogicznymi, to rzadki wyjątek; a wtedy ksiądz taki zawdzięczał zaletę tę nie urzędowym wykładom, ale pracy osobistéj, wywołanéj rzetelnym zrozumieniem swego stanowiska i potrzeb narodowych.“

Z tego wszystkiego, co tu p Kr. powiedział, to jedno przyjmuję, że lepiéj by się działo, „gdyby nauczyciel był przekonany o technicznym wykształceniu inspektora;“ gdyby „z *zasady* z niedowierzaniem nie przyjmował rady inspektora“ rzekomo, że ten „skąpe, ma wiadomości pedagogiczne.“ Jeden a z pewnością nie „mający skąpych wiadomości pedagogicznych,“ nauczyciel religii przy gimnazyum powiadał mi, że musiał zaprzestać konferencyi, bo nauczycielom jego zdawało się, że we wszystkim, i w teologii mędrsi od niego.

Mniéj pychy z téj skąpéj wiedzy, połapanéj przez kurs trzechletni w seminaryum: a frazesa o „wykształceniu technicznym inspektorów zagrzęzłym na traktach średniowiecznych wydadzą się samymże nauczycielom śmiesznością.

Czy na prawdę zdaje się panu Kr. i innym nauczycielom, że ten sam p. dyrektor-seminaryum poznańskiego wykładał inną pedagogikę klerykom, a inną swym seminarystom? że jednym jakąś zacofaną średniowieczną, drugim postępową, że jednym tail postęp umiejętności pedagogicznéj, dla drugich ją wyłącznie zostawując?

W. K. z Dolska twierdzi, że „inspektor szkoły chcąc nauczyciela poprawić, powie coś takiego, co się nie zgadza z dzisiejszymi pedagogicznymi zasadami“, boć „pedagogika to nauka nowa“ (sic!).

Gdyby p. K. był powiedział, że dla teologów przeznaczone kursa pedagogiczne nie wdrażały w praktykę, dawały więcéj teoryą samę; że trzebaby obmyślić coś dla praktyki: nie byłby potrzebował uciekać się do śmiesznych frazesów „o średniowiecznych traktach.“

Co p. Kr. podaje dla uzupełnienia fachowego wykształcenia inspektorów, choć mu się zdaje bardzo „praktyczne“: niekoniecznie ono wydaje się tak świetnym, a przynajmniéj praktycznym pomysłem.

Wedle niego przyszli teologowie i inspektorowie mają szkółkę mieć normalną, w któréjby sami uczyli; mają co tydzień wypracowanie zrobić pedagogiczne (!); mają we wszystkich przedmiotach uczyć dzieci, może nawet systematycznie we wszystkich trzech oddziałach, od *A* do *Z* w każdéj nauce, żeby nabrać wprawy w metodyzmie, żeby ułożyć plan nauk, nauczyciele na to mają poświęcić cały drugi rok: takie z nas duchownych nieuki.

Zdaje się, że ze wszystkich księży pedagogów jeden ks. Gawrecki*) znalazł łaskę w oczach p. Kr., który nawet nie pozwala duchownemu udzielać pedagogiki klerykom, bo ma to być „nauczyciel normalny ze stanu *świeckiego.*“

Co do tego projektu pana Kr. takie moje zdanie, że on zgoła niepraktyczny. Ostatecznie wykształcenie dla praktycznego parafialnego życia nie może być zadaniem teorycznego seminaryum, lecz praktycznego. Inaczéj byłoby to z największym uszczerbkiem wykształcenia teologicznego, żeby przyszli teologowie mieli tyle ćwiczyć się w praktyce pedagogicznéj, ile ćwiczenia zapewne nie mają nawet przyszli nauczyciele z fachu. W teoretycznym seminaryum duchownym można tylko podać teoryą pedagogiki: nadto można i trzeba podać klerykom sposobność przypatrzenia się zastósowaniu przepisów pedagogicznych przez nauczycieli; a więc brać ich na egzamina do seminaryum nauczycielskiego i do szkółek normalnych, i, gdzie się ja napatrzyłem najdoskonalszemu metodyzmowi, do szkoły głuchoniemych.

To przypatrzenie się w zastósowaniu teoryi w praktyce seminaryum nauczycielskiego i jego szkółki dałoby przyszłym inspektorom normę do sądzenia rezultatów pracy, i do ocenienia metody nauczyciela w parafii, a więc na inspektora dostatecznym byłoby ukształceniem. Co księdzu samemu trzeba umieć, to elementarnie, nie po uczonemu, wykładać religią. Ależ tego uczą się teologowie w seminaryum praktycznym; bo i mają i teoryą i praktykę homiletyki i katechetyki, przez co z pewnością, biorąc jeszcze na uwagę wyższy stopień ogólnego wykształcenia, daleko lepiéj są przysposobieni do zastósowania akroamatycznéj czyli homiletycznéj i heurystycznéj czyli katechestycznéj.

Jak mało nauka o metodach tych przeszła w krew naszych pedagogów, miałem sposobność poznać na konferencyach okręgowych gdzie nie tylko ich praktyka nie odpowiada dostatecznie teoryi zasadom, lecz gdzie nawet niektórzy z teoryi zdać sobie sprawy nie umieją w języku polskim, lecz uciekają się do technicznych wyrażeń obcych jak heuristisches Verfahren.

(C. d. n.)

*) Więc pedagogami nie byli uwielbiany przez ks. Gawreckiego ks. Bogedain, wysoce ceniony przezeń ks. Grandke, ks. Jüttner, Rohr?

Uczony Dr. Olendzki i dekretały fałszywego Izydora.

Napisał

Dr. I. N. Łukowski

(Dokończenie.)

III.

Stan kwestyi dekretałów — wystąpienie p. *Olendzkiego* — twierdzi, że dekretały stworzyły polityczną przewagę duchowieństwa — dowodzi tego dwoma ustępami z dekretałów, z których jednego nie zrozumiał, a drugi zmyślił — Karól W. i następcy jego wynoszą polityczne znaczenie biskupów — przywileje ich już są określone w kapitularzach Karola W. zatem o półwieku przed ukazaniem się fałszywych dekretałów — wytłumaczenie mniemanych zatargów między władzą świecką a duchowną — kilka uwag szczegółowych o uczoności p. *Olendzkiego* — słów kilka o moralnéj wartości *Tygodnika Wielkopolskiego*.

Gdy sprawa jaka przez najwyższy trybunał rozstrzygniętą została (quum sententia transiit in rem judicatam), natenczas żadnéj już nie ma apelacyi. Tak się ma rzecz mniéj więcéj ze sprawą dekretałów. Rozbierał ją przez długi czas najwyższy areopag historyków; nie brakło żadnéj formalności sądowéj, byli tam oskarżyciele i obrońcy, były dokumenta, świadkowie, byli nareście bezstronni sędziowie. Ci po długich debatach wymierzyli dekretałom *Pseudo-Izydora* sprawiedliwość i *sententia transiit in rem judicatam;* od niéj nie ma już apelacyi. W jednym tylko razie wolno całą sprawę rozpocząć na nowo, gdy odkrycie nowych źródeł, nowych dokumentów, rzucających nowe i niezwykłe światło na stan rzeczy do tego upoważnia. Kto jednak bez takiéj pomocy i podstawy, dla tego jedynie, *że mu się tak zdaje,* o sprawie skończonéj, przegranéj, rozprawiać zaczyna, daje dowód wielkiéj lekkomyślności i wielkiego nieuctwa.

W istocie nie bardzo często coś podobnego się wydarza. Jednakże za dni naszych, w uczonym Poznaniu, coś takiego się przytrafiło. Niejakiś *dr. Olendzki,* jak gdyby dotąd uczeni nie zajmowali się wcale dekretałami *Izydora,* poruszył ich sprawę na nowo, niby gruntownie. Tu nasamprzód pytanie się nasuwa, kto jest ten p. *dr. Olendzki?* O jego dawniejszych pracach literackich nic mi niewiadomo, nie mogę więc pod tym względem dać publiczności żadnego objaśnienia. Z ukazaniem się *Tygodnika Wielkopolskiego,* organu naszych radykalistów, wszedł do niego jako współpracownik i ogłosił szereg artykułów, związanych jedną wspólną tendencyą. Na ich czele czytamy *„o wolności politycznéj,“* w którym autor nowe i dziwne rzeczy rozpowiada. Np., że IX. a szczególniéj w XI-wieku duch ludzki począł się wyłamywać z pod opieki klasztornéj. Ciekawy jestem, kto tak źle autora poinformował, kiedy przewaga ducha klasztornego zaczyna się dopiero w XII. wieku pod gorącą wymową św. Bernarda, a ciągnie się potém przez cały wiek XIII i XIV. Daléj twierdzi, że młodzieńcze państwo znalazło w potędze kościelnéj nieubłaganego wroga, podczas gdy rzecz miała się przeciwnie. — Nareście dodaje, że teorya wypowiedziana *we fałszywych dekretałach, w pseudoklementyńskich listach i przywileju św. Medarda* w IX. wieku i z początkiem XI. wieku zaczyna przechodzić w praktykę.

Jaka to była teorya i jaka praktyka, o tém autor z razu nic nie powiedział; teraz w artykułach: *O teoryach politycznych w wiekach średnich,* uzupełnił to, co przedtém opuścił. Oto jego słowa:

„Synod prowincyonalny w Sardyce roku 344 i dekret Walentyna III. r. 443 robią Papieża prymasem i najwyższą władzą duchowną. Nieporządki polityczne we Włoszech i Francyi, częste odwoływanie się do zdania papieża, do tyla go *rozzuchwalają,* iż w połowie IX. wieku Mikołaj I. każe się koronować, *a w tymże czasie sfalszowane w Moguncyi dekretały i listy Klemensa I. formułują politykę przyszłości*“.

Na innéem miejscu powiada, że „stan duchowny od IX. wieku, a szczególniéj od XI. wieku występuje ze zuchwałemi pretensyami, których pierwszym wyrazem są *fałszywe dekretalia* i w nich zawarte Pseudo-Klementyńskie listy jawnie wówczas głoszące wyższość władzy duchownéj.

Wedle *dr. Olendzkiego* fałszywe dekretały były programem politycznym z góry obmyślonym, który Grzegorz VII., a późniéj Innocenty III. w życie wprowadzili. Rzeczywiście kto w potępieniu sekt aryańskich i Donatystów widzi „debiut polityczny“ Kościoła i „odstąpienie od pierwotnych zasad Chrystusowych,“ mógł i z dekretałów wyczytać uzurpacyą praw politycznych. Po wyłożeniu przez nas treści i celu głównego pracy Izydorowéj czytelnik osądzi wartość twierdzenia, które na żadnym nie polega dowodzie, tylko na uczonéj powadze *dr. Olendzkiego.*

Prawda, że autor cytuje dwa ustępy z dekretałów na poparcie swojéj opinii, które jednak, niestety, zupełnie co innego opiewają.

Pierwsze wedle dowolnego tłumaczenia autora brzmi: „Królowie i wszyscy ludzie mają podlegać księżom i *uchylać* przed nimi *głowę.*“ Widać, że autor przeczytał te słowa w jakiéjś książce, jako wyrwane ze związku nie zrozumiał, dla tego kładziemy tu cały ustęp, aby ułatwić szanownemu autorowi poznanie owego błędu.

„Omnes principes terrae et cunctos homines eis (tj. episcopis) obedire et *capita sua submittere,* eorumque adjutores existere praecipiebat, ut omnes pariter fideles et cooperatores legis Dei monstrarentur, ne de eis dicatur: Confundantur et erubescant.“ (Isai 41).

Mowa tu wyraźnie o godności, biskupiéj, któréj każdy wierny podlegać musi bez względu na godność jaką piastuje. Królowie i książęta należą każdy do swojéj dyecezyi, nie mogą zatém nie słuchać biskupa w sprawach sumienia i Kościoła, a pobudki tego posłuszeństwa, wyłuszczone na końcu ustępu, pokazują, że wcale nie ma mowy o podbijaniu władzy świeckiéj pod duchowną.

Drugi ustęp w przekładzie p. Olendzkiego wygląda bardzo niebezpiecznie dla naszéj tezy.

„Król, sędzia i każdy człowiek bez względu na stan ma być pozbawiony swego urzędu i stanowiska, skoro występuje przeciw tym dekretom powagi Apostolskiéj.

Tych słów mimo kilkakrotnego szukania nie znalazłem w dekretałach. Za to w miejscu przez autora wskazaném czytam te oto słowa:

Omnes ergo qui eis (tj. episcopis) *contraveniunt, ita damnabat et infames neque ad satisfactionem monstrabat* (tj. św. Piotr) *et nisi converterentur, a liminibus Ecclesiae alienos esse praecipiebat.* Przekład dosłowny: Wszystkich więc, którzyby ich nie usłuchali, skazywał na wyklęcie i utratę czci, dopókiby nie uczynili zadość, a w razie nie nawrócenia się zakazywał im przestępować progi Kościoła.“

Czytelnik widzi, że między tym ustępem, będącym kontynuacyą powyższego i stanowiącym kary kościelne, po dziś dzień używane, za nieposłuszeństwo biskupowi w sprawach duchownych — a słowami podanemi przez *p. Olendzkiego* nie ma nic wspólnego. Ponieważ słów *p. Olendzkiego* nigdzie w dekretałach nie znalazłem, przeto lękam się, że do sławy sfałszowania *Tertuliana,* niedawnemi czasy zdobytéj przez *Tygodnik Wielkopolski,* przybywa mu nie mniéj smutna sława sfałszowania dekretałów.

Sądzę, że krótkie uwagi moje odsłoniły *p. Olendzkiemu* kruchość fundamentu, na którym oparł swoją hypotezę *„o polityce przyszłości“* sformułowanéj niby w dekretałach *Izydora.* Dwa przezeń przytoczone ustępy, jak przekonał się łaskawy czytelnik, nie bardzo pochlebnie świadczą o jego gruntownéem zapoznaniu się ze źródłami. Na próżnoby z resztą ich szukał, bo autorowi zbioru Izydorowego ani się nie śniło o *„polityce przyszłości.“* Nie chcę jednak przeto zaprzeczyć, że już w IX. wieku duchowieństwo wywierało na wszystkie sprawy publiczne wpływ potężny, temu tylko przeczę, że w imię dekretałów wpływ ten uzyskało. Na cóż bowiem podrobionemi dokumenty dobijać się miało znaczenia, posiadanego już faktycznie od wieków? na cóż prawne wymyślać tytuły, kiedy te już istniały *w kapitularzach Karóla W.* śmieszne doprawdy zaczęcie, chcieć urzędowe od cesarza nadane lub uznane przywileje poprzeć księgą nieznanego autora i wątpliwego powodzenia.

Prawda, że szanowny *dr. Olendzki* odkrył to, czego żaden z poważniejszych nie znał historyków: że dopiero od IX. w. a szczególniéj zaś od XI. wieku dotąd nie wzruszone stanowisko księży zwolna chwiać się zaczyna, a w miarę tego, zmienia się téż ich stósunek do władzy świeckiéj i szerzenia oświaty. Odsyła tu autor do *Guizota*, który zupełnie coś przeciwnego twierdzi, powiadając, że w wiekach średnich system municypalny był cieniem bez rzeczywistości, a feodalny dopiero w powiciu, władza królewska imieniem tylko, podczas gdy jeden Kościół „était à la fois jeune et constituée, selle elle possedait à la fois le *monuvement et l'ordre* c'est à dire les deux grands moyens d'influence.“ Znakomity *Guizot*, lubo protestant, zrozumiał i osądził trafnie istotę naszego Kościoła. Szanowny jednak *dr. Olendzki* widać przypuszcza, że czytelnicy nie sprawdzą nigdy jego cytacyi, dla tego przytacza wszystko, nawet to, czego nie ma w autorach.

Dzieje zresztą zupełnie przeciwny stan rzeczy nam pokazują, aniżeli *p. Olendzki.* Nie chodziło bynajmniéj o zniesienie władzy kościelnéj na rzecz świeckiéj, owszem świecka wszelkiemi siłami wynosiła duchowną, dobrze zrozumiawszy prawdziwy interes swój, który zamyka się w dwóch wyrazach: *„błogosławieństwo Kościoła“*. Bez nicgo państwo nigdy nie zazna prawdziwéj pomyślności, nigdy nie dojdzie do rzeczywistego celu swego.

Już Karól W., który jak dobrze wiadomo *p. Olendzkiemu*, żył kilkadziesiąt lat przed ukazaniem się dekretałów, chcąc w swojém imperyum zaprowadzić ład i dozór, a zarazem złamać zbytnią przewagę fałszywych grafów, utworzył wiele małych hrabstw czyli okręgów administracyjnych. Z nich dość znaczną liczbę powierzył biskupom, ponieważ za najazdów barbarzyńców oni sami wpływem swoim już to oddalali niebezpieczeństwo grożące z zewnątrz, już to uciszali niezgody wewnętrzne. Słusznie więc w wielu okręgach nadawano biskupom władzę cywilną i polityczną.

Zdarzało się także niekiedy, że barbarzyński magnat jaki, Got lub Longobard przekazywał całe mienie swoje biskupowi lub opatowi, a sam chronił się do klasztoru, aby resztę dni swoich poświęcić służbie bożéj. Tym sposobem za Karóla W. i następców jego, wpływ duchowieństwa, mianowicie biskupów, wzmagał się bezustannie, a za późniejszych Karolingów i w sejmach państwa i przy wybieraniu panujących głos ich ważył ciężko na szali stronnictw.

Czyż jednak to faktyczne posiadanie rozległych politycznych przywilejów wymagało fałszywych dekretałów, aby stać się pewnem i niejako zlegalizowanem? czyż nie było tytułów prawnych, w moc których prałaci używali swoich przywilejów? Wszak kapitularze Karola W. przyznały biskupom odpowiednie ich godności stanowisko w państwie i kościele, a układano kapitularze w tych samych czasach, w których *uczony Olendzki* widzi *zuchwałe pretensye* duchowieństwa, formułującego, we fałszywych dekretałach, *politykę przyszłości.* Mało zaiste uczoności i logiki frazeologia ta zawiera, ale za to w autorze odkrywa talent na mówcę ludowego *szkoły lwowskiéj.*

Następcy Karola W. mianowicie ostatni Karolingowie, aby obronić się od drapieżnych grafów swoich, podkopujących całość państwa, pomnażali bezustannie władzę biskupów, nadawszy im, prócz innych, przywiléj *immunitatis ecclesiasticae*, na mocy którego biskup rezydujący w mieście, należącém do grafa, wyjęty był z pod jego juryzdykcyi.

Jakże więc pogodzić z temi faktami śmiałe Olendzkiego twierdzenie, że dopiero za Karola Łysego (843 — 877) zaczyna się wyrabiać arystokracya świecka, która przeciwważy wpływ duchowieństwa, *a duchowieństwo wtedy występuje z pretensyami, których pierwszym wyrazem są fałszywe dekretały.* Oczywiście nie bardzo obeznał się z swoim przedmiotem autor szanowny, skoro nic nie wie o istnieniu magnatów, którzy złożyli z tronu ostatniego z Merowingów, a z kolei berło oddali w ręce Pipina i Karola W. Nic pono nie wie o rocznych zjazdach Marcowych a późniéj Majowych, skoro w jego mniemaniu *dopiero za Karola Łysego wyrabiać się zaczyna* arystokracya. Karol Łysy nie myślał nigdy o przeciwważeniu wpływu duchowieństwa przez arystokracyą, bo przeciwnie jedyną przeciw istniejącéj oddawna arystokracyi pomoc skuteczną znajdował w biskupach, których władzę dla tego właśnie zwiększał, co więcéj, znał nawet tak niebezpieczne w czasach *Olendzkiego* dekretały, bo na synodzie w Quier-cey po raz pierwszy o nich wspomina, a bynajmniéj nie przestawał otaczać duchowieństwa względami swemi, jak pokazuje np. kapitularz z r. 843, gdzie powadze biskupów *obronę honoru królewskiego* poleca (Walter III 3). Czemuż go nie polecił *comitibus, proceribusque*, którzy wedle uczonego *Olendzkiego „przy tronie stojąc“* nie mogli nie zwracać na siebie królewskiéj uwagi.

Nie przeczymy, że w IX wieku były liczne nieporozumienia między kościołem a świeckiemi rządami, tę koncessyą uczyniemy ochoczo p. *Olendzkiemu.* Uczony mąż w istocie słyszał, że dzwoniono, ale niestety nie wie, w którym kościele. Opowiem więc pokrótce, jaka była tych nieporozumień natura. Kiedy po podziale państwa za Ludwika Pobożnego zaczęły się nieszczęsne zatargi między braćmi, nieraz się zdarzało, że król lub podwładny mu książe, korzystając z zawieruchy wojennéj, zagrabiał dobra kościelne. Tego dopuściło się wielu świeckich panów pod Pipinem akwitańskim, młodszym synem Ludwika Pobożnego. Wtedy biskupi, książęta i *missi dominici* zebrani w Akwisgranie (846) potępiwszy uroczyście tę grabież, wysłali do króla Pipina *commonitorium* w téj sprawie. Pipin, który sam się w nią był wmięszał, po długim oporze nareście zwrócił dobra i swoich poddanych także do restytucyi zniewolił. Podobne sceny powtarzały się nieraz i w następujących czasach, a im większe były zamieszki polityczne, tém częściéj i bezkarniéj najeżdżano majątki kościelne. Cóż dziwnego, że bezustannie krzywdzone duchowieństwo domagało się zwrotu prawnie sobie przyznanych posiadłości kościelnych. Oto co uczony *Olendzki* nazywa zuchwałemi pretensyami. O innych zaś roszczeniach duchowieństwa w IX r. historya nic nie wie.

Dotąd mówiliśmy o politycznym i historycznym poglądzie autora w ogólności, a czytelnicy przekonali się, że nie jest on ani dojrzały ani prawdziwy. Wypada teraz okazać uczoność tego męża na kilku szczegółach, bo nie sposób jest przytoczyć wszystkich. Nasamprzód tytuł zbioru Izydorowego zdaje się nie jest mu dobrze znany, bo chociaż wszyscy prawnicy, nawet zawzięty Kalwin *Blondel* nazywają go *dekretales pseudoIsidori*, uczony *Olendzki* porobił z niego aż trzy udzielne pisma rozróżniając *fałszywe dekretały Izydora* od *Pseudo-Klementyńskich* listów, i od przywileju *św. Medarda.* Jest to podział na Europę, Polskę i Portugalią. Nie domyśla się nawet mąż uczony, że *decretales Pseudo Isidori* prócz innych listów i dekretów zawierają także pseudo Klementyńskie.

Uderzyło nas niemało, że szanowny autor zbiór ten przypisuje Izydorowi arcybiskupowi Sewilskiemu, który umarł 636 r. Późniéj sfałszowano go niby w wieku IX. Tak w istocie dawniéj niektórzy rozumieli. Jednakże *postępowy* Dr. O. był powinien wiedzieć, że to zdanie dzisiaj zostało zupełnie zaniechaném, z *postępem* badań historycznych. Powstała zagadka owa tym sposobem, że zamiast *Izydor Mercator*, (tak w przedmowie nazwał się autor dekretałów) w niektórych rękopismach stoi *peccator*, mniemano więc, że świętobliwy arcybiskup Sewilski z wielkiéj pokory sam się przezwał grzesznikiem. Dzisiaj jednak od tego przypuszczenia odstąpiono.

Wielce nas zbudowały także wiadomości geograficzne *Olendzkiego.* Powiedziawszy nam w przypisku, że sfałszowano dekretały na *wschodzie* Niemiec, określa, potém bliżéj miejscowość, gdzie się to stało. Czytelnicy zdziwieni dowiedzieli się, że w *Moguncyi*, i że to miasto, gdzie wedle *Olendzkiego* „Duchowieństwo sformułowało politykę przyszłości“, — leży na *wschodzie* Niemiec. Zaprawdę, odkrycie geograficzne, godne poprzednich odkryć krytycznych.

Krótka nasza acz tak ważnym przedmiotem zajmująca się rozprawa miała cel podwójny: sprostować prawdę naruszoną lekkomyślnie przez niedouczonego pisarza, a potém zwrócić uwagę publiczności na charakter naukowy *Tygodnika Wielkopolskiego.* Powiedziano trafnie, że głupi przez godzinę więcéj się zapyta, aniżeli mądry patrafi odpowiedzieć przez rok cały. To samo i o dziennikarstwie powiedzieć można, odkąd fale jego wezbrawszy gwałtownie, z bezprzykładną w dziejach nienawiścią

biją w gmach kościelno-społeczny, wzniesiony wielowiekowym trudem naszych pradziadów, trzeba porzucić nadzieję wytykania wszystkich niedorzeczności i błędów, wszystkich kłamstw i oszczerstw, miotanych pełną garścią przez radykalnych pismaków. Jedném pociągnięciem pióra wywracają to, czego geniusze dowodzili z wielkim mozołem, jednéj chwili im dosyć, aby jadowitą obelgą zniweczyć długoletnią uczciwą sławę. Nic łatwiejszego! W obec téj rosnącéj zuchwałéj przewrotności na nic się nie zda podnosić wszystko, prostować wszystko. Daremny byłby trud, daremna praca. Powinien wystarczyć ogólny dowód, że kłamią i wedle możności od czasu do czasu takowy dajemy. Dla tego też trzymając się raz przyjętéj taktyki, z długiéj rozprawy Olendzkiéj „o teoryach politycznych XIII wieku" ciągnącéj się bez przerwy przez wiele numerów *Tygodnika Wielkopolskiego*, i o któréj przewidzić nie można, kiedy się skończy, podnieśliśmy szczegół jeden, aby dać próbkę wartości całego utworu. Nie po raz pierwszy już katolicki organ naszéj prowincyi zwraca uwagę na kierunek radykalnego wielkopolskiego czasopisma, obowiązkiem jest teraz publiczności dowieść czynem, że nie pochwala bezbożnéj jego tendencyi, i że wyrzeka się wszelkiéj z nim solidarności.

1571—1871.

Kościół św. w tych dniach obchodził sławną rocznicę. Przed 3. wiekami, za panowania św. Piusa V., w Sobotę 7. Października 1571 roku, potęga barbarzyńskiego muzułmanina zwyciężona i złamana została na wodach Lepantu przez flotę katolicką, którą dowodził Don Juan Austryacki.

Od téj epoki datuje się upadek potęgi tureckiéj w Europie; zwycięztwo to niemałe, a zawdzięcza je się przeważnie Papieztwu, które zawsze największe oddawało i oddaje usługi prawdziwéj Chrześciańskiéj cywilizacyi.

Jest powszechnie znaną rzeczą, w jakich okolicznościach stoczono tę pamiętną bitwę. Kiedy protestantyzm co tylko rozdarł był ostatecznie dawną jedność Rzeczypospolitéj chrześciańskiéj, a polityka Machiawela usadowiła się na wszystkich prawie tronach, w obec tylu i tak wielkich niebezpieczeństw, Papieztwo zrazu samo tylko jedyne stanęło do walki w obronie krzyża przeciw zuchwałemu półksiężycowi.

Ale Opatrzność nie dozwoliła tego osamotnienia. Wezwanie Piusa św. do wspólnéj obrony sprawy Chrześciańskiéj znalazło oddźwięk pomiędzy ludami, i za rycerzami, którzy walczyli pod Lepanto, słały niezliczone zastępy serc katolickich gorące modły do téj błogosławionéj, przeczystéj Dziewicy, któréj Papież z wdzięczności, przydał tytuł na zawsze wpisany odtąd w litanii: *Wspomożenie wiernych.*" *„Auxilium christianorum!"*

Nie zna, doprawdy, wcale dziejów przeszłości, albo nie rozumie obecnego położenia rzeczy ten, który nie widzi uderzającego podobieństwa pomiędzy dzisiejszym rzeczywistym stanem świata, a niebezpieczeństwem, jakie cudownie usunięte zostało przez zwycięztwo pod Lepantem.

Bez wątpienia już nie mahometanizm zagraża dziś społeczestwu chrześciańskiemu; lecz inna również barbarzyńska a niebezpieczniejsza jeszcze od tamtéj potęga wysila się na jego zagładę i straszliwe ciosy nań wymierza — a jest nią Rewolucya, którą Lamoricière, jak to wiadomo, poświęcając swój stary a groźny miecz na posługę kościoła św., nazwał przed światem *„nowym islamizmem!..."*

Protestantyzm w oczach naszych się rozpada — jest on już tylko formułką mniéj lub więcéj szczerą racyonalizmu albo bezwzględnego indyfferentyzmu; lecz wszystkie negacye antyreligijne, wszystkie herezye, wszystkie sekty bezbożne godzą się i ściśléj niż przedtém wiążą się w ligę szatańską przeciw Chrystusowi i Jego św. kościołowi.

Rządy same już odpadły od chrześciaństwa; wypędziły Boga z kodexów prawnych (la loi est athée), cofnęły się do pogaństwa i w téj staréj Europie, którą utworzyły i ukształciły ręce Papieży, Biskupów i Zakonników, po dziś dzień nie ma ani jednego księcia, któryby się wzruszył na myśl, że Zastępca Chrystusa jest więźniem w Watykanie, i że groby Apostołów są pod mocą najbezbożniejszych niedowiarków. *„Astiterunt reges terrae et principes convenerunt in unum adversus Dominum et adversus Christum ejus."*

Tak, niestety, zewsząd nieprzyjaciele katolicyzmu podnoszą głowę i krzyczą, że panowanie jego się skończyło. Przeciw sobie ma i książąt i rządy, prasę i *„ducha nowoczesnego"* — a wszystko zionące jadem nienawiści przeciw *„l'infâme,"* jako nieprzyjaciela a raczéj zbrodniarza uniwersalnego, wszędzie go ściga, prześladuje rani, i porażkę zupełną a za nią upadek i śmierć jego haniebną, z uciechą zapowiada. Toć już teraz tron Papieży rzymskich wygląda na ruinę; niebawem akcya destruktywna *„wolnych myślicieli"* dotknie samąż władzę duchowną, a Namiestnik Chrystusa już tylko chyba jako widziało upłynionéj przeszłości będzie mógł się ukazać światu.

Otóż o tém dziś mówią tak na dworach książęcych, jak na posiedzeniach ministeryalnych — to rozgłaszają, tego z upragnieniem wyglądają dziś dzienniki europejskie.

Lecz w obec tego dziś też jak przed 3. wiekami Papież nie milczy, ludy się ruszają, kościół cały się modli.

Tak! podczas gdy prawo, sprawiedliwość, prawda wszędzie są zapoznawane, uciskane i zdradzane, jeden jedyny król, najdostojniejszy lecz najsłabszy wśród wszystkich — podnosi swój głos — a ten głos Jego rozbrzmiewa po całym świecie na to, aby pomścić niewinność, bronić słabości, potępić błąd i na bezwstydném czole tryumfującéj nieprawości wycisnąć piętno nieodwołalnego *„anathema."*

Tak, gdy społeczeństwo spogańszczone zanurza się w przepaść zmysłowości, rozdziera się przez straszliwe wojny domowe i w jaskiniach karbonaryzmu i wolnomularstwa spiskuje, to z drugiéj strony w katolicyzmie wszędzie ogranizuje się szeroko rozgałęzione, a potężne sprzysiężenie *„modlitwy."* W oczach polityków ziemskich mało co albo nawet nic to nie znaczy, lecz w rzeczywistości jest to fakt wielkiéj doniosłości — gdyż ta modlitwa powszechna i nieustanna jest wyrazem zewnętrznym potęgi ludzkiéj opartéj na wszechmocy Bożéj.

Dla tego obok czystości i przy całości naszéj wiary zachowajmy wszystek zapał nadziei. Papież, ludy a z nimi Bóg: to więcéj, niż potrzeba, aby rewolucyi zadać taką klęskę, jaką była owa z pod Lepanto, po któréj nieprzyjaciele krzyża już się nigdy nie podnieśli. Jest w duszach katolickich błogie i radośne przeczucie, które taką ufność wywołuje i usprawiedliwia. Po wszystkich krajach wierne syny Kościoła św. czują potrzebę bliższego poznania się, porozumienia, podania sobie ręki, łączenia się i wzmocnienia ku wspólnemu wystąpieniu i działaniu. Możnaby to pontekąd nazwać mimowolną rekrutacyą do bliżkiéj wojny krzyżowéj. Niech tylko natchnienie z niebios wysokości, niech błogosławieństwo Piusa IX. rozbudzi i rozszerzy ten ruch; niech tylko jaki potężny głos się odezwie lub zabłyśnie jaki sławny miecz, a ujrzymy jeszcze restauracye daleko świetniejsze i tryumfy daleko okazalsze, aniżeli te, z których się cieszyli przodkowie nasi.

Niech tedy tę błogosławioną chwilę wybawienia i sprawiedliwości przyśpieszą westchnienia głębokiéj modlitwy — tego z utęsknieniem wyczekuje tyle milionów wiernych, którzy po całym szerokim świecie odmawiając św. różaniec proszą Boga, aby *„przyszło królestwo Jego"* i pozdrawiają Maryę, szafarkę łask wszelkich, Matkę nieśmiertelną miłosierdzia. *„Wspomożenie wiernych.*

(Le Bien public.)

Lwów dnia 5. października.

Przewielebne duchowieństwo świeckie i zakonne Archidyecezyi Lwowskiéj obrz. łać. zajaśniało jednym z najpiękniejszych przykładów miłości i serdecznego poszanowaniu ku swemu Arcypasterzowi.

Dnia 4. b. m. obchodził Jego Exellencya Najdostojnieszy Arcybiskup, ks. Franciszek Xawery Wierzchlejski, rocznicę 25letnią swéj konsekracyi na Biskupa. Lat czternaście był Biskupem Przemyskim, a jedynaście lat rządzi już najchwalebniéj na stolicy Arcybiskupiéj we Lwowie.

Inicyatywa do obchodu tak rzadkiéj solenności wyszła od Prześwietnéj Kapituły Lwowskiéj, która powodowana czcią i miłością ku swemu Najdostojniejszemu Arcypasterzowi, połączyła się z duchowieństwem całéj Archidyecezyi i wydała przepiękne dzieło religijności swojéj i gorącéj miłości Boga, w uczczeniu swego najukochańszego Ojca i Arcypasterza.

Ze wspólnéj składki sprawiono pastorał srebrny kosztem przeszło 1000 zł. r., oraz album z fotografiami księży, bogato oprawne, kosztem do pół tysiąca zł. r. i złożono odpowiedni kapitał, który się będzie daléj ofiarami księży pomnażał, na zawiązek fundacyi imienia Arcybiskupa ku wspieraniu corocznie potrzebujących kapłanów.

Te dary uroczyście złożono do rąk Arcypasterza dnia 3. października w obec dwóch Biskupów: Jego Excellencyi ks. biskupa Tarnowskiego i JW. Przemyskiego Biskupa, i bardzo licznie zgromadzonego miejcowego i zamiejscowego duchowieństwa — wśród pięknéj mowy JW. Infułata ks. Mosinga, na którą odpowiedział Najdostojniejszy Solenizant ks. Arcybiskup. Przemyską dyecezyą w deputacyi reprezentowali trzéj kanonicy gremialni JWks.ks.: Hoppe, Ziemiański i Skwierczyński i kilku kapłanów z dyecezyi.

Dnia 4. było nabożeństwo w Archikatedrze o 11. godzinie, sprawowane przez ks. Infułata Dziekana Mosinga, w obec powyższych dwóch Biskupów i całego przybyłego kleru i ludu kościół przepełniającego, dziwną rozkosz serca dające i obfite błogosławieństwo boże sprowadzające na wszystkich obecnych. Bo kto Biskupa czci i kocha, obfite łaski Boże na się sprowadza. Kto się modli na intencyą swego Biskupa, za siebie i dobro swoje najskuteczniéj się modli.

Po nabożeństwie składały wszystkie korporacye z naczelnikami swemi Jego Exellencyą Namiestnikiem hr. Agencrem Gołuchowskim, Jego Excel. księciem Sapiechą Marszałkiem obecnie obradującego Sejmu i t. d. swoje życzenia.

O trzeciéj zaś godzinie uraczył obiadem w swoim pałacu ks. Arcypasterz kochanych swoich gratulantów i wszystkich przybyłych z Archidyecezyi swéj i z obcych dyeczyi kapłanów. Wszystkich trzech obrządków kapłani w serdecznéj miłości znaleźli się razem przy sercu ks. Arcybiskupa, który téż wniósł przy stole zdrowie na cześć i jedność katolicką przewzorową trzech obrządków. Ogólna w Bogu radość nas wszystkich obecnych ożywiała, i dziękowaliśmy Bogu, że wśród wielu smutków z powodu prześladowania Ojca świętego za dni naszych, zamieszek religijnych w różnych miejscach, a osobliwie ucisków w naszéj ziemi, pod moskiewskim rządem, znaleźliśmy chwilę odpocznienia sercu naszemu, chwilę radośną w Bogu i ujrzeliśmy promyk lepszéj dla Kościoła przyszłości i w naszém zaciszu, ożywieni w Bogu wspólną miłością i gorącém przywiązaniem kapłanów do swoich Biskupów Za co niech będą Bogu najgorętsze dzięki od nas złożone. —

Wiadomości potoczne.

— Otrzymujemy z różnych stron od szan. konfratrów zapytania, czybyśmy ceny Tygodnika dla mniéj zamożnych nie zniżyli: otoż oświadczamy, że dla księży wikaryuszów odtąd prenumerata kwartalna Tygodnika wynosić będzie 1 tal., ale wtedy wprost do Redakcyi zapisywać należy. Zniżenie to ceny jéno znaczniejsza liczba nowych prenumeratorów zrównoważyć może, przeto o jak najliczniejszy abonament upraszamy.

Toż zniżenie jest i dla Galicyi; od N. Roku więc księża wikaryusze płacić będą tylko 2 fl kwartalnie.

Mamy jeszcze kilkanaście eksemplarzy numerów z przeszłego i bieżącego roku.

— Jutro Najprzew. ks. Arcypasterz udzieli dwom subdyakonom tutejszego semin. duchow. święcenie dyakonatu. Obrzędu tego dopełni w kościółku PP. Karmelitanek.

— Jak się dowiadujemy, jutro, t. j. w niedzielę, ma się odbyć instytucya kanoniczna ks. Witalisa Maryańskiego, kapelana Jego Arcybiskupiéj Mości, zaś we wtorek następny, dnia 17 b. m., będzie installacya w katedrze. Następcą w kapelanii mianował Najprzewiel. ks. Arcypasterz ks. Dr. Meszczyńskiego, wikar. przy koś iele św. Marcina.

— Nowo przybyłych kandydatów do stanu duchownego w tutejszym seminaryum jest 26. Wszystkich razem kleryków będzie więc 80. Pod przewodnictwem O. Wojcikowskiego odbywają się rekollekcye dla całego seminaryum na rozpoczęcie kursu nauk.

— W zeszłą niedzielę Najprz. ks. Biskup Suffragan Cybichowski z Gniezna udzielał w Bydgoszczy, na zakończenie Missyi, Sakrament Bierzmowania blizko 700 osobom. Missya w Bydgoszczy z początku mniéj była ożywioną, ku końcowi napływ wiernych był bardzo ogromny.

— W przyszłym numerze podamy „Akta Quintae Congregationis Decanorum etc.“, które już wyszły z druku i duchownym obu archidyecezyi rozesłane zostały.

— Data przeszłego numeru *Tygodnika katolickiego* przez omyłkę położona niewłaściwie 1 października, a ma być 7 października.

— Jak się dowiadujemy, ma JWks. Prałat Koźmian, który dla operacyi oka udał się był przed kilku tygodniami do Wrocławia, w przyszły wtorek wrócić do Poznania. Niebezpieczna operacya udała się szczęśliwie, i jeśli coś nadzwyczajnego nie zajdzie, oko będzie uratowane.

— W 231 num. *Dziennika poznańskiego* czytamy „Sprawozdanie z czynności poselskich posła gnieźn.-wągr. na sejm państwa niemieckiego p. Konstantego Dziembowskiego.“ Jest to sobie mówka posła Dziembowskiego, którą wygłosił przed pewną liczbą włościan w Wągrówcu. Nie jest naszą rzeczą zapuszczać się w rozbiór téj mowy szan. posła, którą dzienniki nasze, niezawodnie przez ironią, arcydziełem prostoty i jasności nazywają, a któréj słuchający wieśniacy chyba instynktowo bić mogli głośne oklaski: — chcemy tylko jeden podnieść szczegół, a to ten, gdzie szan. mówca o religii wzmiankuje. O religii niepodobna było nie wspomnieć i oto, co powiada:

„Rzecz niewątpliwa, że jeżeli kiedykolwiek to dziś tém więcéj, gdy katolicyzmowi z jednéj strony zagraża schizma, a z drugiéj wpływ jego osłabić usiluje protestantyzm, posłowie polscy są i będą rzecznikami św. wiary ojców naszych, téj drogiéj po nich spuścizny, tego łącznika serc ludzkich z Bogiem (choć z wyjątkiem gdzie religia jako płaszczyk tylko do stronniczych światowych celów używaną bywa).....

Nasamprzód niech nam wolno będzie przypomnieć, że pan Dziembowski, który wobec wieśniaków zgromadzonych, na sali w Wągrówcu zaręczał, że „posłowie polscy są i będą rzecznikami świętéj wiary ojców“, w czasie zamieszek wyborczych na początku bieżącego roku, w sposób najbardziéj szorstki odrzucał wszelką myśl oświadczenia się i przyzwolenia na owe cztery punkta kościańskie, które prócz obowiązku bronienia w danym razie interesów religijnych, nic innego nie zawierały. Przypominamy, daléj, jak to posłowie polscy, prawiący dziś patetycznie o „łączniku serc ludzkich z Bogiem“, i o „drogiéj spuściźnie po ojcach“, któréj nietylko schizma, ale i protestantyzm zagraża — w czasie wyborów śmiało głosili, że nic i nikt religii nie zagraża.

Zaręczanie także szan. mówcy, że „posłowie polscy są i będą rzecznikami św. wiary ojców“, co do przeszłości nie ma faktycznéj podstawy, a co do przyszłości pozostanie sobie prostym zaręczeniem bez rzeczywistego następstwa. Wszakże filozof z *Ustronia* w *Dzienniku* udowodnił (sobie), że nie ma zgoła żadnéj potrzeby bronienia „łącznika serc ludzkich z Bogiem“, i że katolicyzm jest dla narodowości tylko rzeczą przypadkową, i że ci, którzy narzucają się na jego obrońców, są wstecznikami uzurpatorami najgorszego rodzaju. Niech się o to ze sobą rozprawią: szanowny poseł Dziembowski i filozof z *Ustronia* lub wreszcie sam *Dziennik*, który pod obecnym kierównictwem nihilismu moskiewskiego śmiało utrzymuje, że „ukochanie Polski ponad wszelkie zasady“ jakimbądź wymogom, i religijnym nawet, w zupełności wystarcza.

Słowa p. Dziembowskiego, zamknięte nawiasem, a dość zresztą niejasne, o używaniu religii jako płaszczyka do celów światowych, miały być zapewne przycinkiem dla tych, którzy nie idąc trybem frazeologiczów polskich, rozprawiających szczytnie o „drogiéj spuściznie ojców“ i o „łączniku serc ludzkich z Bogiem“, o wzniosłéj idei religii itp., sprawy religijne konkretnie biorą i praktycznie działają. Pięknie się to mówi i pięknie téż słyszy o „świętéj religii“ — ale wcale nie zaszczytnie prawić jéno o téj świętości, a usuwać się w danych razach od spełnienia obowiązków, jakie religia w stosunkach świata i życia powszedniego nakłada.

— W dwóch numerach *Dziennika poznańskiego* czytaliśmy w odcinku rozprawkę, jakiegoś filozofa z *Ustronia,* o konserwatystach i postępowcach w ogóle, a w szczególności o tych dwóch kategoryach ludzi u nas. Filozof z *Ustronia* dowodzi tez swoich przedewszystkiém porównaniami czy podobieństwy, branemi z przyrody, zapomniawszy, że *comparaison n'est pas raison.* Zdefiniowawszy dowolnie tak zwanych konserwatystów, którzy jedyną swą podstawę mają mieć w rządzie, z wielką goryczą odzywa się o tak zwanych reakcyonistach czyli wstecznikach, przypisując im jak najbrzydsze przymioty. Na czele takich wymarzonych w swym chorym mózgu wsteczników stawia filozof z *Ustronia* słynnego pisarza katolickiego i publicystę: Ludwika Veuillota. Otóż powiemy króciuteńko filozofowi z *Ustronia,* że pism p. Veuillota ani nie widział, a znakomitego jego dziennika: *l'Universa* nie miał w ręku ani jednego numeru. Trochę to rzecz niepiękna, że filozof *Dziennika,* chcący wiedzieć o wszystkiém i rozprawiać o wszystkim, choćby dla prostéj ciekawości nie zaznajomił się z tyle osławionym przez masoneryą, a tyle cenionym i miłowanym przez Ojca św. i wszystkich katolików, katolickim pisarzem: Ludw. Veuillotem.

Filozof z *Ustronia* doszedł wreszcie po rozmaitych skręcaniach, nawracaniach, zapytaniach i odpowiedziach retorycznych, do rezultatu, że konserwatyzm u nas jest anomalią, jest niedorzeczeznością, bo nawet religii bronić nie ma potrzeby. Religia dla narodowości, twierdzi filozof, jest *accidens;* państwo jest bezkonfessyjne, tak samo stronnictwo polityczne ma być bezkonfessyjne; stronnictwo liberalne i postępowe u nas — to ideał i zbiór wszystkiego dobrego. Ono kocha religią, ono ją chce zachować i wzmocnić w ludzie naszym (panowie liberały — libertusy snadno się bez niéj obędą!) — to stronnictwo wszystko cokolwiek dobrego dzieje się u nas czyni: bez niego nic się nie staje, co się staje. Nie zgorsza to pochwała na polskich liberałów, na czele np. na *Dziennik poznański,* który śmieje się do rozpuku z naiwności filozofa z *Ustronia,* jeśli to tylko nic innego jéno prostoduszność dziecięcia lub gadatliwość starca. Ale, zaprawdę! źleby było bardzo ze sprawą religii, gdyby jéno takich miała opiekunów i obrońców, jakich filozof z *Ustronia* wskazuje. Liberały nasze dawnoby ją już były przefrymarczyły za nędzną soczewicę masońskich obietnic i frazesów, dla chorobliwych swych mrzonek i dla bałwochwalczego bicia pokłonów przed tym, co „ponad wszelkie zasady ukochali.“ Tak zwane „polskie katoliki“, trzęsące się na samo wspomnienie „ultramontanów“, stracili już dawno osobiście wiarę wszelką pozytywną, chrześciańską, katolicką — żyją albo w grubym indyfferentyźmie albo w praktycznym ateiźmie — inni czulszego serca i poetycznego nastroju ducha o idealnéj jakiéjś religii, zawieszonéj w obłokach, w niedościgłych wysokościach — świegocą. Ilekroć interesa religii doczesne, ziemskie domagają się jak najoczywiściéj obrony i poparcia, polskie katoliki — co lepsi między nimi — subtelne wynajdują dystynkcye, do sofistycznych uciekają się matactw, by się wymykać z pod jawnych powinności chrześciańskich, i zagłuszyć w sobie sumienie. Biada, powtarzamy, religii, gdyby zachowanie i wzmocnienie jéj, rękom takich ludzi oddawano. Nie, po stokroć nie — choćby filozof z *Ustronia* wyklinał jeszcze silniéj tak zwanych konserwatystów u nas — oni nie pozwolą nigdy, by liberały nasze, postępowcy, którzy tyle razy kraj cały zawiekrzyli, tyle krwi serdecznéj utoczyli Matce, tyle ruin i biada sprowadzili na tysiące rodzin — by te liberały nasze bez nauki gruntownéj, bez istotnych zasad, bez sumienia katolickiego i religijne sprawy mieli wziąść w swą opiekę, by ją wrzekomo „wzmacniać w ludzie naszym.“ To „wzmacnianie“ rozpoczęłoby się od wmawiania w „lud nasz“, jakeśmy to w czasie wyborów widzieli, iż księża z Arcybiskupem na czele zaprzedali wiarę i odstępcami się stali — od przekonywania, że „władza doczesna nie jest potrzebną, nie jest dogmatem“, że „papieztwo to — trup albo grabacz cywilizacyi.“

Mimo niejednego niepokojącego symptomu, pocieszamy się tym wszelako, że „lud nasz“ będzie wiedział, gdzie szukać wzmocnienia swéj wiary: czy u liberałów, którzy jéj samej nie mają, czy w Kościele i u jego sług i przedstawicieli.

— Zwracają nam uwagę na znakomitego w swoim zawodzie artystę, orgarmistrza Żebrowskiego z Warszawy. Pan Żebrowski wywiązał się chlubnie z zadania swego we Wrześni i w Bieganowie, że go szan. duchowieństwu można polecić.

— Katolicki dziennik *Germania,* wychodzący w Berlinie pod redakcyą ks. P. Majunke, oświadcza, że silnie występować będzie w obronie praw Polaków. Pismo to pod kierownictwem zdolnych redaktorów, a przy wybitnie katolickim swym charakterze, cieszy się znakomitą liczbą, bo 6000 prenumeratorów. W Poznaniu ma swego osobnego korespondenta, który w rzetelnym świetle przedstawia tutejsze stósunki: religijne i polityczne.

— Spis Kazań Missyjnych X. K. Fabianiego zawartych w pierwszym tomie:

Dzieło to można także osobno nabywać w redakcyi *Tygodnika katolickiego.* Cena 4 złp. = 20 sgr.

— Jest u nas jako też w księg. Tyt. Daszkiewicza w Poznaniu do nabycia:

1) **Antropologia przedhistoryczna** Stefana Pawlickiego $2^1/_2$ sgr.

2) **O nieomylności papiezkéj** X. Dr. Wartenberga $2^1/_2$ sgr.

3) **Moderanci** przez X. Z. Goliana. 4 sgr. = 1 złp.

4) **Godzina śmierci.** Czytania miesięczne dla wszystkich stanów. Wydał ks. J. Stagraczyński. Z obrazkami. Cena 5 sgr.

5) **Petycye parkowskie** w *Dzien. poz.* Napisał X. Wartenberg 2 sgr.

— Zwracaliśmy już uwagę szanownych czytelników na wydawnictwo O. H. Jackowskiego S. J. pod tytułem: Czytania katolickie z różnych pisarzów Towarzystwa Jezusowego, w Pelplinie, nakładem księgarni Jana Romana. Wyszły już następujące książeczki w pięknym wydaniu: Pawła Segneri: Nauka o dobréj spowiedzi; K. Rossignoli: Prawdy wieczne; J. Morawskiego: Namowy Ducha św.; K. Drużbickiego: Przygotowanie do szczęśliwéj śmierci; St. Goślickiego: O częstym używaniu i uczęszczaniu Przenajśw. Sakramentu. Wyjdzie jeszcze kilka książek. Cena całéj seryi (70 arkuszy druku) w drodze przedpłaty wynosi 2 tal. Osobno wyszły jeszcze dwa bardzo polecenia godne dziełka O. H. Jackowskiego: Namowa do św. Wstrzemięźliwości i: Rozważ to dobrze. Powyższe wszystkie książeczki są i u nas na składzie. — Wydawnictwo to gorąco polecamy.

Nakładzca i Redaktor X. J. Stagraczyński w Poznaniu. — Czcionkami drukarni Tygodnika katolickiego (A. Schmaedicke) w Poznaniu.
W komisie L. Streisandta w Grodzisku.